

# Ilustracja Polska

we Francji

## Cena — Prix

We FRANCJI . . . . . 1,50

En FRANCE . . . . . frs. 1,50

W BELGII . . . . . 2,00

En BELGIQUE fr. b. 2,00

W HOLANDJI . . . . . 0,18

En HOLLANDE guld. 0,18

## ADRES

Redakcja i Administracja  
101, Rue Emile - Zola, 101.  
L E N S (Pas-de-Calais)

Nr. 223.

22-go października 1939 r. — Le 22 Octobre 1939.

Rok IX.

## Tam, gdzie toczy się wojna...

### Treść nr. 223.

#### Dwa tygodnie pod atakami bombowców niemieckich.

(Korespondencja własna „Ilustracji Polskiej”).

—oOo—

#### Lanca w rękach polskiego ułana.

—oOo—

#### Stefan Starzyński,

bohaterski prezydent Warszawy. —  
Przypomnienia na czasie.

—oOo—

#### Adolf Max, nieustraszony burmistrz Brukseli,

lat temu 25 przeciwstawił się  
Niemcom.

—oOo—

#### Pierwszy posterunek nocny.

Nowela.

—oOo—

#### Milion w złocie.

Odcinek bardzo ciekawej powieści.

—oOo—

#### Rozmaitości.

Tyran arabski z XVII stulecia. —  
Którą ręką kraje pan chleb? — Lu-  
dzie chudzi są mędrsi od tłuszciochów?

—oOo—

#### Z najnowszych odkryć i wynalazków.

Latający dziennikarz. — Czy pszczo-  
ła będzie mogła zastąpić gołębia po-  
cztowego? — Niezwykły ptak.

—oOo—

#### Pani w zielonym płaszczu.

Zagadkowy dramat w Londynie.

—oOo—

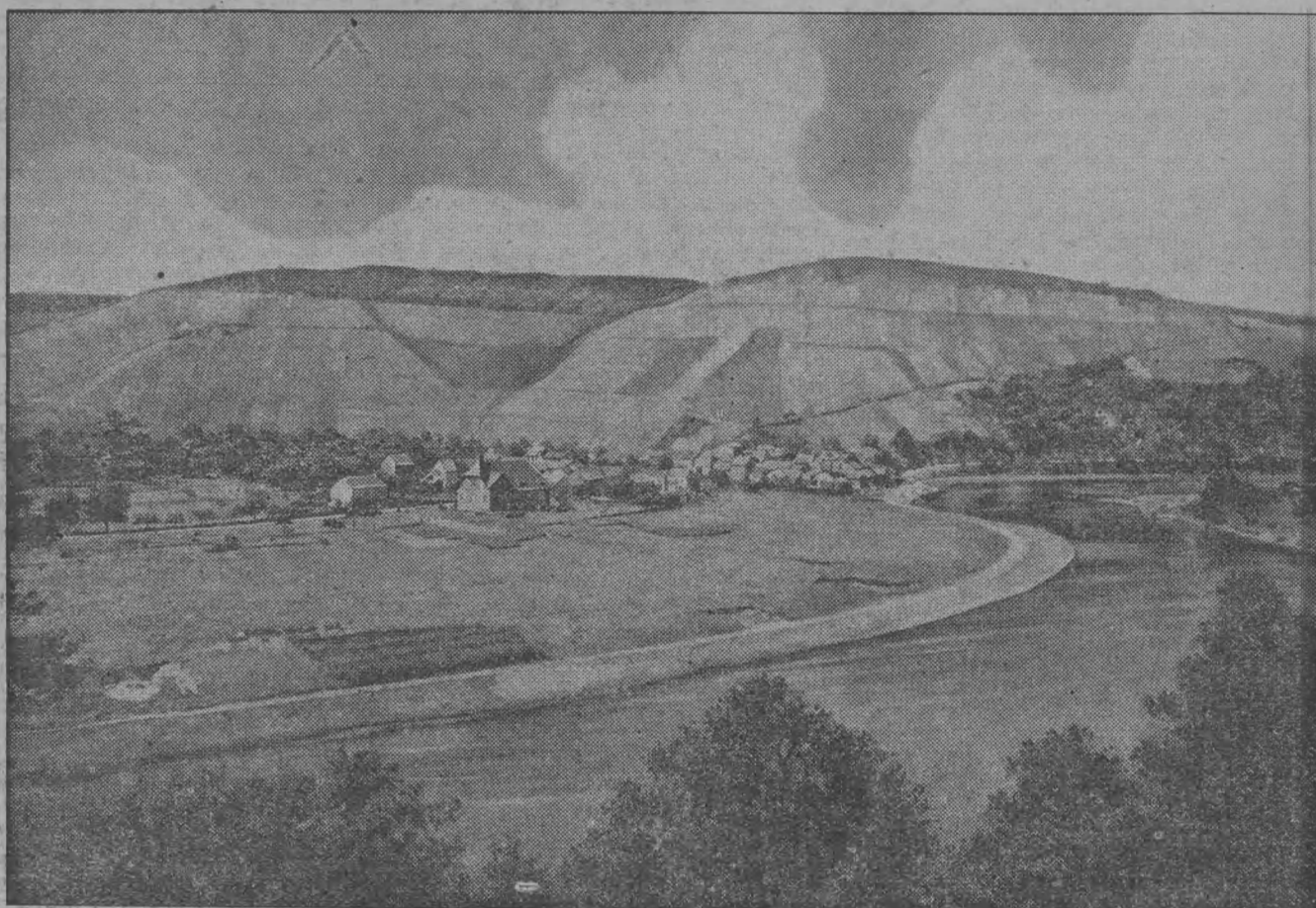
#### Humor.

Strona dowcipów.

—oOo—

#### Aktualności wojenne.

Wojska Wielkiej Brytanii, obok armii francuskiej, gotowe do zwycięskiej walki. — Samoloty na wywiadach. — Pierwsi ranni na polu walki. — Delegacja Polaków we Francji u Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.



Zdjęcia powyższe przedstawiają krajobrazy nad rzeką Saar, nad którą toczą się obecnie ostre walki między wojskami francuskimi a niemieckimi. Podobnie, jak powyższy widok dwóch wiosek, przedstawia się cała okolica, przylegająca w zagłębieniu do rzeki Saar, której źródła znajdują się we Francji, w Wogezach, ujście zaś niedaleko Trewiru, w Nadrenii (Niemcy), gdzie wpada do Mozeli.

Fop 1939



# Dwa tygodnie pod atakami bombowców niemieckich

(Korespondencja własna „Ilustracji Polskiej”)

Autor poniższej korespondencji po tygodniowym pobycie we Francji, wyruszył w drogę powrotną do Warszawy 31. sierpnia, w przeddzień wybuchu wojny. Spędziwszy dwa tygodnie w Polsce, wrócił do Francji i dzieli się z nami swymi wrażeniami.

Dnia 31 sierpnia, na samym schyłku dawnych, dobrych czasów, w upalny, letni dzień, mój dobry znajomy z Najwyższej Rady Wojennej powiedział mi: „Mówił mi pan, że gdy wojna wybuchnie, chce pan być w Polsce i bić się tam. Otóż nadszedł czas by wyjeżdżać. Z Berlina donoszą, że Niemcy zdecydowali się rozpocząć wojnę i to bardzo szybko”.

Bluff się skończył i wojna rozpoczęła się nazajutrz. Gdy przekroczyłem granicę szwajcarską, już bombardowano Warszawę, Kraków, Poznań i inne miasta polskie.

W Lozannie, Vevey, Montreux, na dworcach pełno było żołnierzy, zarówno jak i w „blokhausach”, które widziało się z pociągu. Cała Szwajcaria, przez którą przejeżdżałem, zbrojna od stóp do głów, stanowiła kontrast w porównaniu z Włochami, do których przyjeżdżaliśmy, z cichą, biedną i pracowitą Lombardią, gdzie nie widziało się prawie żołnierzy. (Zupełnie różną od tej, którą oglądałem, przejeżdżając tamtędy po raz drugi).

Oto paradoksalne widowisko: pacyfistyczna Szwajcaria uzbrojona i wojownicza Italia o aspekcie pokojowym. Pomyślałem wówczas, że dobrze zrobiłem, wracając do kraju. I nie cmyliłem się.

Na dworcu w Mediolanie dowiedziałem się, że Niemcy bombardowali już Polskę. Zabiło mi serce. Chciałem jak najszybciej zostawić za sobą granicę włoską. Nastrój był gorączkowy. Dopiero w Tryjeście z dodatków nadzwyczajnych dowiedziałem się o ogłoszeniu przez Mussoliniego neutralności Włoch. Odetchnąłem z ulgą, że wojna nie utrzyma mnie we Włoszech.

W dwa dni potem byłem w Czerwiowcach. Podczas obiadu u konsula polskiego dowiedzieliśmy się przez radio, że Francja i Anglia wypowiedziały wojnę Niemcom. „Niech żyje Francja! Niech żyje Anglia!” krzyczały rozentuzjasmowane tłumy, oklaskując ambasadora Neela. — Wielka wojna rozpoczęła się.

Otrzymałem rozkaz towarzyszenia brytyjskiej misji wojskowej, przybyłej do Polski i nie myślałem wówczas, że w trzy tygodnie później będę przejeżdżał przez to samo miasto, w jakże odmiennych okolicznościach!

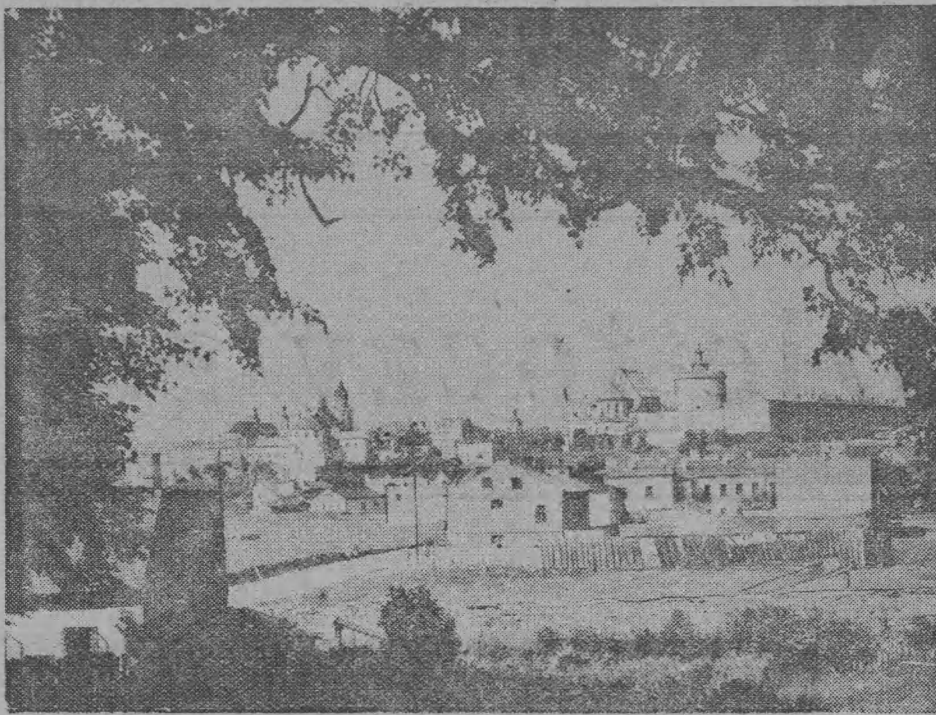
5. września, we Lwowie, w ciemnościach bombardowanego dworca — zniszczonego zresztą całkowicie w kilka dni potem — nacelnik stacji oddał do mojej dyspozycji dla misji i dla mnie specjalny wagon z wozem bagażowym i osobną lokomotywą.

Wiedziałem, że tego samego dnia francuski kurier dyplomatyczny przybył do Lwowa i, że jest w konsulacie francuskim. Natychmiast też zatelefonowałem do konsula.

W czasie wojny zwykle pociągi są niepewne, gdyż chodzą dość powoli. „Mogę zabrać kuriera do mego specjalnego pociągu”. Urzędnik konsulatu był zdumiony, gdy usłyszał mój głos i pytanie o kuriera i jego walizę. Był pewien, że jestem we Francji.

Biedny kurier myślał właśnie o kąpiel, która mu się rzetelnie należała po długotrwałej podróży. Ale, widać, poświęcił kąpiel, gdyż zastałem go wyczekującego przed moim przedziałem. Ulokowaliśmy się w nim obydwoj, do innych wsiedli członkowie angielskiej misji wojskowej.

Noc była jasna i widać było wyraźnie okolicę. Anglicy sarkali na niewygodę podróży: to woda była niedobra, to znów było zimno... Nasi Tommies w cywilu byli całkiem mili, stwierdziliśmy obydwoj, mój towarzysz Francuz i ja, ale byli... Anglikami.



Widok ogólny Lublina, ciężko uszkodzonego przez bomby niemieckie.

Francuz i ja byliśmy zachwyceni szybkością, z jaką pędził pociąg. Szybkością nie dającą się porównać z pędem zwykłych pociągów podczas wojny.

Wstaliśmy o świcie i przez okno wagonu ujrzeliśmy niekończący się sznur pociągów ewakuacyjnych. — Był to piąty dzień wojny. Ewakuowano dzieci z Pomorza i liczne rodziny z całym ich dobytkiem. Wszędzie w wagonach osobowych i towarowych widać było ranne dzieci, kobiety o przerażonych twarzach, złamanych starców, a także i młodych ludzi.

Widziało się podróżnych zupełnie bez rzeczy, a także i tych, którzy wyruszyli ze swymi narzędziami pracy w rękę.

Ten właśnie piąty dzień wojny ukazał nam prawdziwe oblicze tych tragicznych wydarzeń.

Mój towarzysz podróży był głęboko przejęty... Jego żona była we Francji, syn w wojsku. Sam przeszedł tamtą wojnę i poznał to piekło. Powiedział cicho: „Lajdacy! Co oni zrobili!”

W Lublinie zetknęliśmy się już z prawdziwą wojną, samoloty nie-

ki chleba, częstują Anglików.

Odgrywam rolę tłumacza i mówię Francuzowi, że Polki żywią gorące uczucia dla Francji.

— Nie boimy się bombardowania — mówią młode kobiety — niech tylko nie zabijają dzieci.

— Nie wolno im masakrować ani kobiet ani dzieci — oburza się gwałtownie jakiś podoficer. — Niech przyjdą tutaj, bić się na polu walki. Oni są mocni, gdy bombardują ludność cywilną z samolotów, ukryci w swych piekielnych maszynach niszczą Polskę.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy ujrzeliśmy zbliżającego się samolotu. Właśnie opuściliśmy Lublin, gdy nadleciał niemiecki samolot i usiłował zbombardować nasz mały pociąg. Samoloty nieprzyjacielskie nie lubią zbyt krótkich pociągów i szybko się z nimi rozprawiają.

Tu zaczął się pościg chytrności i pośpiechu. Staliśmy wszyscy w oknach i jeden z Anglików, dla żartów stanął na dachu i wycelował w samolot długą łaską, mającą udawać karabin maszynowy. Kapitan X. wydawał rozkazy, porucznik Y. nadzorował wagon bagażowy, a



Najpiękniejsze kamienice na-rynku we Lwowie, „Grodzie Orłąt”, w którym obecnie panoszą się Bolszewicy.

Francuz i ja oglądaliśmy niebo ze wszystkich stron. Za każdym razem gdy ukazywał się samolot, maszynista hamował, a my wszyscy szybko zeskakiwaliśmy na ziemię, aby ukryć się w zaroślach. Pociski wybuchały wokół, na szczęście nie wyrządzając żadnej szkody. Udawaliśmy zabitych, a gdy samolot odlatywał, pociąg ruszał znowu. W ciągu jednej godziny

powtórzyło się to chyba z dziesięć razy. Samolot niemiecki, który nas ścigał, dał wreszcie za wygraną i kiedy mineliśmy Nałęczów, pożegnał nas pociskiem ciężkiego kalibru. Usłyszeliśmy odległy, głuchy odgłos detonacji. Tor kolejowy za nami był zniszczony — byliśmy uratowani.

Dojechaliśmy do Puław, odległych o jakie dwie godziny od Warszawy. Mimo, że mieliśmy pierwszeństwo przed innymi pociągami, zawiadowca stacji nie chciał nas puścić dalej. Linia była „zablokowana”.

Słyszeliśmy ze wszystkich stron odgłosy wybuchów i co chwila komunikowano nam, że taka a taka okoliczna miejscowość czy stacja były bombardowane. Wielki atak na okolice Warszawy był rozpoczęty.

Dowiedziawszy się, że maszynista poprzedzającego nas pociągu został zabity z karabinu maszynowego przez bardzo nisko lecący samolot nieprzyjacielski, zamaskowaliśmy umiejętnie nasz niewielki pociąg, a sami umieściliśmy się w zaroślach, otaczających pobliski domek.

Wyprostowani Tommies znaleźli studnię i zaczęli poranną toaletę. Myliśmy się wszyscy przy huk armat. Kapitan X. kazał zakupić u chłopów kurczęta, a jakiś podoficer okazał się wytrawnym kuchmistrem.

Odpozynek nie był długi. Braliśmy właśnie kąpiel słoneczną, z naszymi angielskimi towarzyszami, gdy usłyszałem odgłos zbliżającego się pociągu. Wstałem, by zobaczyć co się dzieje i ujrzałem wagon, który wydał mi się znajomy. Wagon z białym orłem.

Zobaczyłem znane mi postacie żan darmów, a potem twarze przyjaciół i znajomych. Dalsze wagony pełne były jasnych i ciemnych główek: ewakuowano dzieci z sierocińca.

Zbliżałem się, nie wierząc własnym oczom. Jeden z mych przyjaciół, podpułkownik M. wysiadł z pociągu i podszedł do mnie.

— Idę do wojska — powiedziałem mu.

Prosząc o jak największą dyskrecję podpułkownik oświadczył, że do Warszawy nie dojadę. „dyż linia kolejowa została zbombardowana i rozpoczęto ewakuację miasta. Front został przerwany pod P. Po czym dodał:

„Jeśli się tej dziurwy jak najszybciej nie załata, należy oczekiwać ostrzeliwania Warszawy”.

Stałem przybity, ze łzami w oczach.

Pociąg ewakuacyjny odstawiono na boczny tor, do czasu naprawy linii, a ja wróciłem do mych towarzyszy. Zasypali mnie pytaniami.

— Nie mogę wam nic powiedzieć — powtarzałem — jeśli jednak mogę wam coś doradzić, połączcie się natychmiast z angielskim attaché wojskowym w Warszawie, on wam wyda rozkazy.

Członkowie misji uzyskali połączenie i attaché polecił im, by oczekiwali na miejscu do czasu jego przybycia. Pobiegli włożyć mundury.

Warszawa była ewakuowana. Tylko kurier francuski wiedział ode mnie, jak poważna jest sytuacja. Nie mogłem tego przed nim ukryć, gdyż widać było teraz na szosie długi sznur aut wszelkiego rodzaju. Niestety, nie zabroniono im podróży w dzień i nieprzyjacieli znał kierunek ewakuacji.

W kilka godzin potem spostrzegłem w mieście samochód, w którym znajdowali się ambasadorowie Francji i Wielkiej Brytanii. Pozostali szefowie korpusu dyplomatycznego byli w drodze. Niezwłocznie skomunikowałem kuriera z ambasadorem. Waliza była ocalona.

Późną nocą składałem telefoniczny raport do Warszawy. Była to moja ostatnia rozmowa z miastem rodzinnym. Jakże było zimno i ciemno...

# Lanca w rękach polskiego ułana.

Artykuł ten był pisany w przededniu wojny. Wspaniałe ataki kawalerii polskiej na niemieckie czołgi, potwierdziły w całej pełni zdanie autora.

Nie wiem czy wielu z naszych ułanów, szwoleżerów i strzelców konnych wie, że nie ma już kawalerii na świecie, oprócz polskiej, do której uzbrojenia należałaby lanca.

Ogromny postęp w przemyśle fabrycznym, umożliwiającą wyrabianie wielkich ilości doskonałej, celnej i dalekonośnej broni palnej maszynowej i olbrzymich mas amunicji do niej, spowodował przeświadczenie wszystkich wojsk na świecie, że kawaleria nie będzie mogła tak łatwo przebrnąć przez zapory ogniowe, aby doszło do walki wręcz i lanca wycofano z uzbrojenia.

Dlaczego więc my, kawalerzyści polscy, jesteśmy ciągle uzbrojeni w lance? Otóż są po temu ważne przyczyny. Żeby je zrozumieć, musimy się cofnąć o kilkaset lat wstecz, do dziejów dawnej kawalerii polskiej.

Mianowicie kiedy dawno, dawno temu, przed półtysiącem lat, wymyślono sposób wyrzucania ołowianych pocisków z rur żelaznych z pomocą prochu strzelniczego, zaczęły się wielkie zmiany w uzbrojeniu i sposobie prowadzenia walki, czyli taktyce. Zaczęto kasować coraz więcej broni, tak zwaną „białą”, to jest służącą do walki wręcz i wprowadzać „broń ognistą” palną, rażącą, w miarę udoskonalenia pomysłów ludzkich, na coraz dalsze odległości. Kawalerie naszej części świata, czyli Europie, wyzbywają się kopii, to jest drewnianego, długiego drąga, bardzo grubego przy uchwycie i zaopatrzonego w silny grot, a przeznaczony do rozrywania i przewracania zwartych oddziałów nieprzyjaciela. Owa kopia łamała się po pierwszym celnym pchnięciu (wtedy dobywano miecza lub szabli). Zamiast kopii kawalerie zaczęły używać karabinów (zwanych wówczas muszkietami), lub krótszych od nich (stąd zwanych „króćcami”) pistoletów. Doszło wreszcie do takiego utracenia zaufania do broni białej, że kawaleria zaczęła stosować taktykę zwaną „caracol” (czytaj „karakol”), to jest nadjeżdżała w długich szeregach, uszykowanych z wierzchołkiem, daleko w głąb. Po dostatecznym zbliżeniu się do nieprzyjaciela, pierwszy szereg strzelał, rozjeżdżał się galopem na dwie strony, w prawo i w lewo w tył, stając za ostatnim szeregiem, gdzie nabijał broń (co trwało wówczas bardzo długo) strzelał następny szereg i tak w kółko — „dokoła Wojtek”.

Otóż kawaleria polska, rok rocznie wojująca z wdzierającymi się od południowo - wschodnich kresów po łupy i niewolników konnych ludami wschodnimi, Tatarami, Turkami i



Ułani polscy w defiladzie.

Włochami, siedzącymi na chyżych, zwinnych koniach i walczącymi przeważnie bronią białą, nie przyjęła sposobu walki, stosowanej na zachodzie Europy, lecz nada, stosowała kopie. A było to tak: już po pierwszej oddanej z dala salwie, oddział nieprzyjacielski zakrywał się kłębam dymu (wtedy proch nie spalał się całkowicie jak obecnie, lecz zostawiał masę resztek w postaci dymu), a kawaleria polska rwała cwałem w ten dym (stąd przysłowie „iść jak w dym”); nieprzyjaciel otoczony dymem, podziwianym w całym świecie czynem tej husarii, była jej szarża na obóz turecki pod Wiedniem w roku 1683. Szarża ta ostatecznie złamała potęgę turecką, idącą na podobój Europy, od tego roku zaczęło się stać cofanie tej potęgi do Azji.

Dalsze udoskonalenie w uzbrojeniu i sposobie wojowania przez ciągłe rozluźnianie szyków, nie pozwalało już na używanie kopii, zdanej tylko do jednorazowego pchnięcia. Kawaleria polska, tworząca się po rozbiorach Polski, pod rozkazami Generała Dąbrowskiego we Włoszech, aby „pod jego przewodem złączyć się z Narodem”, uzbrojona była w broń krótszą, lżejszą, nadająca się zarówno do uderzenia jak do zasłony, to jest w lance, zupełnie podobną do tej jaką mamy dziś, z tą różnicą, że nie była metalowa, lecz drewniana z żelaznym grotem.

Podobnie jak dziś; wówczas (a było to prawie półtora lat temu) kawalerie na zachodzie Europy lance nie znały, będąc uzbrojonymi w szable i karabinki lub pistolety. Otóż pułk ułanów polskich, utworzony we Włoszech i walczący później w Hiszpanii za sprawą Napoleona, wódza Francuzów, w nadziei, że Napoleon za to wyzwoli Polskę od Moskali, Prusaków i Austriaków, pułk zwany dzięki uzbrojeniu w lance „pułkiem lansjerów”, walcząc z Hiszpanami i Anglikami tak dzielnie używał lancy, że sławę jej i sławę imienia polskiego, skazanego przez państwa rozbiorowe na zagładę, rozniósł na cały świat. Z niezliczonych starć, potyczek i bitew staczanych zarówno przez pojedynczych lansjerów jak małe ich patrole, czy też cały pułk, lansjerzy zawsze wychodzili zwycięsko, choć nie mieli zwycięzaju rachować nieprzyjaciół. W jednej z bitew, zaskoczeni w wąwozie przez dwa pułki hiszpańskie z jednej strony a pięć z drugiej strony, z lancami w garści wyrwali się z pułapki. Doszło wreszcie do tego, że Polacy chcąc dopaść nieprzyjaciela, musieli chować lance między konie, gdyż Anglicy i Hiszpanie, dostrzegłszy lance z daleka, zawczasu uciekali z pola.

Hiszpanie przewali tych nieustraszonych polskich jeźdźców „Los infernos picadores” (czytaj „pikadores”), co znaczy po polsku „piekielni ułani”. Dowodził nimi najdłużej pułkownik Konopka.

Upadł Napoleon, wódz Francuzów, zwyciężony w roku 1814 połączonymi siłami Anglii, Prus, Austrii i Moskwy. Odbudowane częściowo pod nazwą „Księstwa Warszaw-

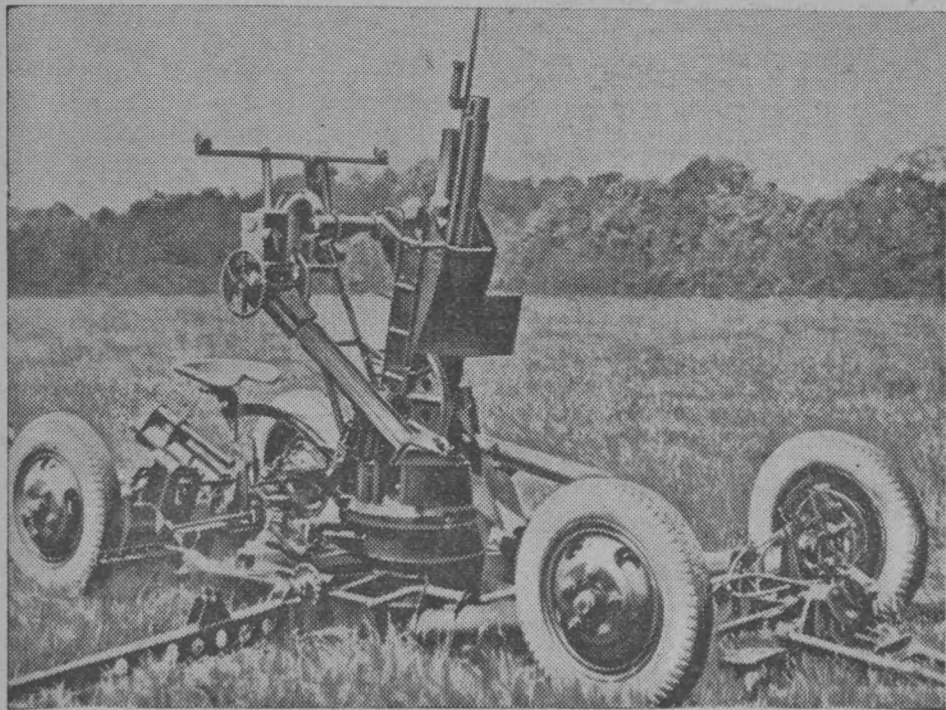
skiego” państwo polskie przestało istnieć. Po roku 1831 po stłumieniu powstania, imię „Polaka” i „Polak” miało być, w woli mocarstw rozbiorowych, wykreślone z użycia w mowie ludzkiej.

I oto co się dzieje: począwszy od roku 1814 kawalerie Europy nie używające lancy, nie wyłączając tych, które były przeznaczone do pilnowania, żeby Polska czasem znów nie powstała, wprowadzają do swego uzbrojenia lance na wzór polskich „ułanów piekielnych”, nazywając pułki w nie zaopatrzone z polską „ułanami” i ubierając je w polski, nigdzie indziej nieznaną krój munduru, dwurzędne „ułanki” i wysokie rogate czapki. Ubiór ten został zachowany aż do ostatniej wojny światowej. Zarówno po niemiecku jak i po angielsku wyraz „ułanka” (narody te nie umieją wymówić „l”) oznaczał polską kurtkę, a „czapka” wymawiamy dokładnie po polsku, polską czapkę, tę właśnie czapkę ułańską, którą rozslawili „lansjerzy Nadwiślańscy” czyli polscy ułani Konopki.

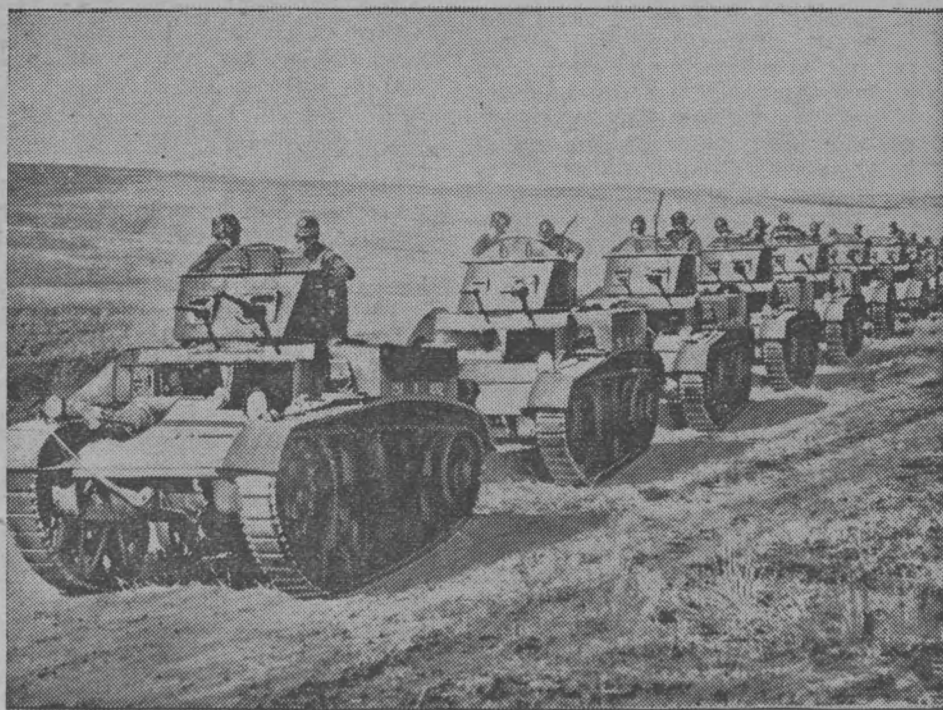
Kto był może w kinie na filmie angielskim „Szarża lekkiej brygady” dziwił się zapewne, skąd angielski pułk ułanów, stojący w odległych o tysiące kilometrów Indiach, był ubrany w rogatą czapkę i polskie mundury, takie, jakie widzimy na obrazach z dziejów wojska polskiego, wiszących w każdym koszarach kawalerii. Były to mundury ścisłe co do guzika uszyte na wzór mundurów polskich ułanów, którzy tak dotkliwie dali się we znaki Anglikom w Hiszpanii. — Lanca, to piękna, szacowna, staropolska broń, którą pradziadowie nasi utrwalili sławę imienia polskiego na długie dziesiątki lat nieistnienia nas jako niepodległego narodu. W dawnym wojsku polskim ułan, który zgubił lancę z grotem nie umaczał w krwi nieprzyjaciela, podlegał surowej karze i pośmiewisku, jako tchórz niegodny noszenia rogatywki. Lanca była w rękach Polaków bronią tak cenną, że Napoleon w roku 1811 odebrał szwoleżerom gwardii, swemu pułkowi przybocznemu, broń palną, dając w zamian lance. Instruktorami władania lancą w pułkach francuskich zostali podoficerowie lansjerów polskich.

Szanujmy i kochajmy lance. Nie wszystkim zadaniom w wojnie sprostać samochody i pancerze. Wspaniała siła i szybkość nóg naszych najlepszych pomocników i towarzyszy — koni, da nam jeszcze sposobność dopadnięcia do nieprzyjaciela i wskrzeszenia sławy lancy w rękach polskiego ułana.

Stanisław Szczawiński,  
Poznań.



Nowoczesne amerykańskie działo przeciwlotnicze.



Oddział potężnych czołgów amerykańskich.

Nie napróżno Niemcy obawiają się dostarczania przez Amerykę broni dla Europy. — Sprzęt wojenny Ameryki jest bowiem jednym z najlepszych i najnowocześniejszych, Na zdjęciu z lewej widzimy nowe działo przeciwlotnicze, wagi 5.000 funtów, kalibru 37mm, z prawej najnowsze modele czołgów.

# Stefan Starzyński, bohaterski prezydent Warszawy.

Nazwisko Stefana Starzyńskiego, prezydenta Warszawy, nierozdzielnie pozostanie związane z bohaterską obroną stolicy Polski przed barbarzyńskim wrogiem, obroną niezrównaną, która poważnym ciężarem zażywa na szali sprawiedliwości.

Po zajęciu męczeńskiej Warszawy przez Niemców, po Stef. Starzyńskim zaginęły ślady. Przypuszczano już najgorsze, wiedząc, czego można spodziewać się po „zwycięzcach”. Aż po kilkunastu dniach niepewności, nadeszła radosna wieść, że prezydent Starzyński zdołał przedostać się do Kowna!

Jest bardzo prawdopodobne, że bohaterski prezydent będzie starał się przybyć do Francji, gdzie wstawiony nieustraszoną postawą wobec znacznie silniejszego wroga, zyskał sobie licznych przyjaciół. Należy do nich publicysta Pierre Legrand, którego artykuł o Stefanie Starzyńskim przytaczamy poniżej w obszernym streszczeniu.

Stefan Starzyński pochodzi ze starej rodziny patriotów polskich. Urodził się w sierpniu 1889 r., i czyż zatem 50 lat. Wzrostu małego, posiada on twarz okrągłą, pełną energii i dobroci. Poważne studia ukończył w r. 1914, gdy wybuchła woj-

ni i stanęła do pomocy przy pracach fortyfikacyjnych. Bohaterski prezydent dzielił z mieszkańcami wszelkie niewygody, wszelkie ograniczenia. Pożywienie swoje ograniczył do minimum. Był wszędzie, pomiędzy walczącymi i obok rannych, między ratownikami, przeszukującymi ruiny i kierował dostarczaniem żywności. Niewyczerpana jego energia dodawała słabnącym otuchy do wytrwania do ostatecznych granic. — Bezgraniczne ofiary obrońców Warszawy, niestety, nie dały natychmiastowego zwycięstwa. Miasto leży w gruzach a ludność cierpi głód i nędzę, szerzą się zaraźliwe choroby. Lecz pewnym jest, że przyjdzie czas, gdy Warszawa posiadać będzie znowu polskiego prezydenta. Stefan Starzyński będzie mógł przystąpić do odbudowy miasta, skoro krwawy rachunek z potworem z Berchtesgaden zostanie uregulowany, a uregulowany będzie na pewno, gdyż nie znajdzie się chyba kraj neutralny, który zgodziłby się przyjąć człowieka, odpowiedzialnego za obecną wojnę.

Stefan Starzyński zabrał się z zapalem do pracy.

Niestety projektów swoich, dotyczących wzmocnienia miasta, nie zdołał wykonać.

Wojna wybuchła dla niego, jak zresztą dla wielu innych, za wcześnie. Zdał sobie z tego natychmiast sprawę, lecz mimo to postanowił, że miasto będzie się opierało do ostatecznych granic wytrzymałości ludzkiej. Pragnął bronić nie tylko stolicy, ale także honoru Polski. Ludność cała z gotowością odpowiedziała na apel

o pomoc przy pracach fortyfikacyjnych. Bohaterski prezydent dzielił z mieszkańcami wszelkie niewygody, wszelkie ograniczenia. Pożywienie swoje ograniczył do minimum. Był wszędzie, pomiędzy walczącymi i obok rannych, między ratownikami, przeszukującymi ruiny i kierował dostarczaniem żywności. Niewyczerpana jego energia dodawała słabnącym otuchy do wytrwania do ostatecznych granic. — Bezgraniczne ofiary obrońców Warszawy, niestety, nie dały natychmiastowego zwycięstwa. Miasto leży w gruzach a ludność cierpi głód i nędzę, szerzą się zaraźliwe choroby. Lecz pewnym jest, że przyjdzie czas, gdy Warszawa posiadać będzie znowu polskiego prezydenta. Stefan Starzyński będzie mógł przystąpić do odbudowy miasta, skoro krwawy rachunek z potworem z Berchtesgaden zostanie uregulowany, a uregulowany będzie na pewno, gdyż nie znajdzie się chyba kraj neutralny, który zgodziłby się przyjąć człowieka, odpowiedzialnego za obecną wojnę.

## Przypomnienia na czasie.

### Bombardowania Paryża w dniach 21 i 27 września 1914 r.

W r. 1914 Paryż po raz pierwszy był bombardowany w dniu 30 sierpnia. Dnia 31 sierpnia, 1 września, 2 i 8 września nastąpiły dalsze bombardowania, powodując kilka ofiar, po czym Paryżanie mieli spokój do 21 września, kiedy to na Paryż padły dwie bomby wybuchowe, nie wyrządzając jednak szkód.

Głośnym echem odbiło się bombardowanie z niedzieli 27 września.

Jules Poirier, opisujący bombardowania Paryża, opowiada, że w ciągu kilku minut padły na Paryż 3 bomby zapalne, wagi 4 kg. 500 każda oraz 2 bomby o wadze 4 kg. 400 gr.

„Samolotem kierował porucznik Decken. Po raz drugi lotnik ten zwrócił się do ludności. Nie chodziło o żądanie kapitulacji; dawał on nieostrożnym ostrzeżenia. Do bomby rzuconej na Lasek Bułoński, która upadła na pastwisko dla bydła na hipodromie Longchamps, przyrzeczona była opaska z następującym napisem:

„Paryżanie! Uwaga! Oto pozdrowienie samolotu niemieckiego”.  
Podpis: Porucznik von Decken. —

### Były więzień niemiecki i doradca Miaji, obrońcy Madrytu szefem armii sowieckiej w Polsce.

Szefem armii sowieckiej, która napadła na Polskę, jest generał Gorew. Generał ten nie zawsze nazywał się Gorew. Jest to jeden z tych awanturników europejskich, którzy wypłynęli na szerokie wody po wojnie światowej.

Rodowe nazwisko Gorewa brzmi von Rose. Jest on potomkiem krzyżaka, osiadłego przed wiekami na Inflantach. Rose, który skończył akademię wojskową w Piotrogradzie, był młodym oficerem, gdy wybuchła rewolucja w Rosji. Odrazu przyłączył się do armii czerwonej. Bolszewicy zapomnieli o jego szlacheckim pochodzeniu i jego przynależności do zniechęconych „kadeków”. W armii czerwonej von Rose już jako Gorew, dokonał kilku krwawych czynów.

W roku 1923 wysłano go do Niemiec, gdzie miał organizować rewo-

lucję bolszewicką. Von Rose - Gorew, działający pod nazwiskiem Skobolewsky'ego wywołał w Niemczech krwawą ale krótkotrwałą rewoltę. Skobolewsky'ego uwięziono i skazano na ciężkie więzienie. Za osobistymi zabiegami Stalina, von Rose został wymieniony za dwóch Niemców, aresztowanych w Rosji.

W 1932 roku wysłano go na czele armii w celu podbicia chińskiego Turkiestanu. Von Rose - Gorew rządził tym krajem cztery lata. W roku 1936 wyjechał do Hiszpanii i przez dwa lata był jednym z głównych doradców generała Miaja. Na wiosnę, gdy pod wpływem tajnych rozmów z Hitlerem bolszewicy nagle wycofali swój materiał i doradców z Hiszpanii, Gorew wrócił do Moskwy. Obecnie Stalin powierzył mu nową misję.

Dwie inne bomby zaopatrzone były w rodzaj koszyczków z napisem: „Uwaga, nie chwytajcie za rączkę”. Samolot leciał bardzo wysoko. Ponieważ nikt go nie widział, mógł bomby rzucać dowolnie. Pocisk rzucony na przeciw domu przy ul. Vineuse 39, zniszczył mur, rozdzielający dwa ogrody. Inny, upadłszy na avenue Trocadero, na narożniku ul. Freycinet, naprzeciw hotelu księcia Monaco, ugodził śmiertelnie p. Rene Hocquet, byłego notariusza, zam. przy quai Voltaire, 5. Hocquet zmarł w drodze do szpitala Beaujon.

Dyoniza Cartier, lat 13, której rodzice mieszkali przy ul. de la Manutention, 5, wysłana po sprawunki, w drodze ugodzona została odłamkiem bomby w nogę, którą następnie trzeba było amputować.

Po tym bombardowaniu ambasadorowie Stanów Zjednocz. i Hiszpanii wystosowali protest, ale nie miał on większego powodzenia od tych, które rozległy się wskutek masakrowania ludności cywilnej w Polsce.

Niemcy się nie zmieniają!”  
„Prior”.

## „Noc spokojna...”

„Noc spokojna na całym odcinku frontu”.

Zdanie to czytano we Francji bardzo często między 2. sierpnia 1914 r. a 11 listopada 1918 r. I oto obecnie, począwszy od 3 września 1939 r. znowu od czasu do czasu pojawia się to samo zdanie.

Działa ono na czytelnika uspokajająco. Przedstawia mu krajobraz nocny, obłany światłem księżyca, cichy i spokojny, chociaż toczy się wojna...

Byłoby naiwnym dać się unieść podobnie idyllicznemu marzeniu. — Spokój na froncie zawsze jest tylko względny. Wojna nie pozwala zapomnieć o sobie. Wśród nocy zawsze zdarzają się alarmy, wybuchy, są ranni i zabici. Dla nich nie ma nocy spokojnej...

Słynny humorysta amerykański, Marek Twain, którego fantazja niczego nie oszczędzała, czepiając się nawet najpoważniejszych tematów, pewnego dnia jako temat do swych dowcipów wziął „najmniejszą bitwę amerykańskiej wojny secesyjnej”.

Mała bitwa, nie nic znacząca. Był tylko jeden zabity. I wszyscy przynawali, że była to naprawdę rekordowo najmniejsza bitwa. Zmarłego zaś o zdanie nikt nie pytał. Gdyby to można było uczynić, byłby zapewne bez wahania oświadczył, że dla niego była to największa bitwa w historii...

Leon Marches.

## Wystawy wojenne w magazynach londyńskich.

Naród angielski przystosowuje się do nowych okoliczności życia ze swą zwykłą filozofią, okraszoną dowcipem i szczerym humorem.

Różne troski i niedomagania życia wojennego nie zdołały w społeczeństwie angielskim osłabić poczucia zdrowego humoru i wiary w swe własne siły. Życie stolicy, bardziej gorączkowe, niż w czasie pokoju, toczy się nowym torem.

Z dniem 1 września w jednym z wielkich i przedsiębiorczych magazynów handlowych wypuszczono na sprzedaż „małe schrony opancerzone, bardzo wygodne”. Są to schrony przenośne i nadające się do każdych warunków i okoliczności. Na wystawach sklepowych wielkich składów spotyka się niezwykle i nie spotykane dotychczas napisy reklamowe, które jeszcze kilka tygodni temu można by wziąć za kpiny, lub niesamowity humor. Oto kilka przykładów:

„Spodnie łatwo do wciągnięcia w razie alarmu.”

„Zabawki na kółkach dla dzieci ewakuowanych.”

„Gry dla rozweselenia się podczas wieczorów bez światła”.

„Puszki na żywność, odporne na działanie gazów” itd.

Jedna z restauracji w swym jadłospisie umieściła wzmiankę: „na dachu restauracji są worki z piaskiem” a krawcy londyńscy starają się szarmonizować płótno masek gazowych z kolorami materiałów na ubrania.

Palme pierwszeństwa pod względem oryginalności w pomysłowej reklamie przyznać należałoby jednak temu wielkiemu magazynowi londyńskiemu, który urządzenie wystawy przystosowane do wymagań obrony przeciwlotniczej, połączył z efektami dekoracyjnymi. Magazyn ten worki z piaskiem, chroniące front wystawny składu ozdobił wszy stkimi kolorami tęczy.

żących do Norwegii obliczać na 700 tys. m. kwadratowych.

Z okazji tej warto przypomnieć, że Norwegia może być uważana za bardzo poważną siłą morską Europy. Połowy przynoszą jej przeszło milion ton ryb rocznie. Poza tym bardzo liczna jest norweska flota handlowa. Podczas samej wojny światowej, utraciła Norwegia, z powodu torpedowców, milion ton towarów. Tym razem flota norweska znowu cierpieć będzie wskutek wojny.



Stefan Starzyński.

na światowa, przynosząc Polakom, pozostającym w niewoli sposobność wykazania, że są waleczni jak dawniej i odzyskania na nowo niepodległości.

Stefan Starzyński i dwaj jego bracia walczyli o tę niepodległość, dla której matka ich poświęciła co miała najdroższego, chociaż były to czasy niebezpieczne, gdyż mściwość carów nie znała litości.

Po ukończeniu wojny, Stefan Starzyński oddał się dziennikarstwu, który to zawód doskonale odpowiadał jego pragnieniu czynu i impulsywnemu temperamentowi. Szybko zyskał rozgłos dzięki gruntowności posiadanych wiadomości z dziedziny finansowej i ekonomicznej. Pewnego dnia powołano go na stanowisko podsekretarza stanu w ministerstwie finansów. Na stanowisku tym oddał wielkie usługi lecz nie czuł się tam w swoim żywiole, nie mając zamiowania do polityki. O wolność ojczyzny nie potrzeba już było walczyć, pragnął więc pracować dla jej dobrobytu i upiększenia.

Do urzeczywistnienia tych pragnień znalazł Stefan Starzyński szerokie pole popisu, kiedy powierzono mu kierownictwo zarządu stolicy.

Marzeniem Starzyńskiego było uczynienie Warszawy „godną stolicą” nade wszystkim ukochaną Polskę. Bezwzględnie przystąpił przeto do pracy i z niezwykłą energią począł projekty swoje wprowadzać w czyn. Pragnął, by Warszawa stała się jedną z najnowocześniejszych stolic w Europie i rozporządzała wszelkimi środkami, wynalezionymi przez naukę dla udogodnienia ludziom życia. Budował więc kamienice, wykreślał ulice i place, tworzył parki, wyprowadzał wojnę nędznych mieszkańcom. Stał się prawdziwym „ojcem miasta”, jak go nazywali Warszawianie.

## Norwegia — ważną siłą morską Europy.

W związku z torpedowaniem statków przez łodzie podwodne, mówiono w ostatnich czasach dużo o terytoriach wodnych Norwegii. Zażywała ona uznania jako do niej należącej przestrzeni wód do 7.420

m. od brzegu lub wysp nawet najbardziej oddalonych od kraju macierzystego, podczas gdy inne kraje zadawała się 3 lub 4 tysiącami m. kwadratowych. Wobec tego mogłaby przestrzeń ziemi i wód, nale-

# Adolf Max, nieustraszony burmistrz Brukseli

lat temu 25 przeciwstawił się Niemcom.



Grób Nieznanego Żołnierza w Brukseli, pod Pomnikiem Niepodległości.

Bohaterska postawa prezydenta stolicy Polski, p. Stefana Starzyńskiego, w czasie nierównanej obrony Warszawy, przypomina podobnego bohatera z czasów wojny światowej, burmistrza Brukseli, Adolfa Max'a. Dnia 26. września minęło 25 lat od chwili, gdy władze okupacyjne niemieckie zarządziły aresztowanie burmistrza Max'a.

Począwszy od pierwszych dni wojny, Adolf Max zwrócił na siebie uwagę swych współobywateli czujnością i zapalem, z jakim bronił praw stolicy Belgii. Mąż stanu, Paweł Hymans, bardzo wymownie opisał rolę, jaką spełniał Adolf Max.

„Nadał on wyrazu duchowi społeczeństwa, pisał p. Hymans, Podnosił dusze do poziomu, z którego duma nie pozwalała się już zniżać. Wytknął on drogę, którą ludność szła, myśląc o tym, co będzie, gdy nie stanie już kierownikiem. Ustalił miarę od wagi cywilnej. Przed odjazdem na wygnanie wybił monetę, która nigdy nie straciła wartości. Stąd pochodzi wielkość jego roli, tym dopomógł do wybawienia ojczyzny”.

Jakie stanowisko zajął burmistrz Brukseli od samego początku wojny światowej, pamiętają dokładnie wszyscy Belgowie. W przededniu wejścia Niemców do stolicy, burmistrz rzekł do swego sekretarza: „Niemcy jutro tutaj będą. Trzeba pokazać, że jesteśmy mężczyznami”.

Dnia 20. sierpnia armia niemiecka wtargnęła do Brukseli i zajęła ratusz, którego Adolf Max nie opuszczał ani we dnie, ani w nocy, broniąc swych współobywateli”.

„W rzeczywistości, napisał on później do gubernatora, Berlina, nigdy nie podlegałem rządowi niemieckiemu w Brukseli. We wszystkich sprawach obradowałem z nim jako władza wolna. Żaden z moich czynów nie został poddany jego zgodzie. Żadnego rozporządzenia rządu okupacyjnego nie wykonałem zgodnie z jego nakazem i w jego imieniu”.

Aresztowanie burmistrza Max'a spowodowało problem odszkodowań wojennych, zażądanych przez Niemców od Brukseli. Oświadczył on okupantom, że uważa sumę 20 milionów za najwyższą, jaką mogą dostarczyć mieszkańcy miasta.

Generał von Lüttwitz zażądał dodatkowych 30 milionów. Max odmówił.

Vierset na ten temat pisze:

„Gubernator oznajmił, że odtąd za

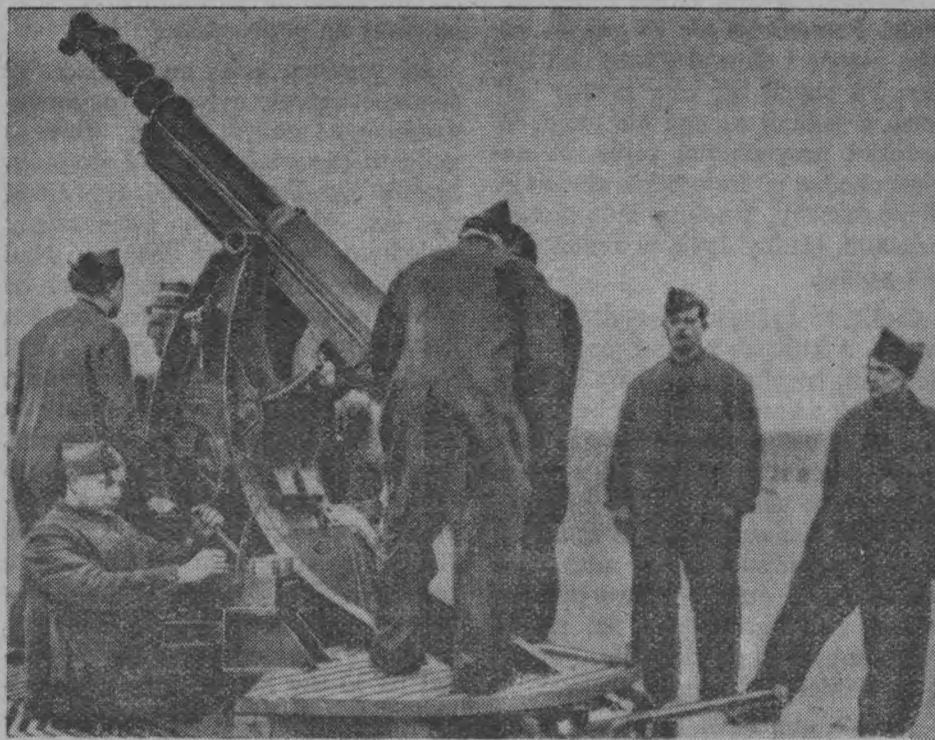
chani koledzy, mam nadzieję, że o ile okoliczności nie zmuszą was do innego postępowania, nadal będziecie spełniać wasze funkcje, Sercem będą przy was, Adolf Max”.

Burmistrz nasamprzód wysłany został do fortecy Namur. Począwszy od tego czasu nigdy nie zaprzestał protestowania przeciw swemu aresztowaniu. Było to daremne. „Władze niemieckie, pisze p. Vierset, strzegły się przed zniesieniem decyzji, która uwalniała ich od niewygodnego przeciwnika. Być może, że p. Max, silny wiarą w swe prawa, ufając w słuszność swojej sprawy, jako jeden z ostatnich stracił wszelkie złudzenia”.

W liście, skierowanym do generała von Lüttwitz, przypomniał następujące zdanie księcia de Schwarzenberga: „Nie mógłbym pozostać spokojnym, używać majątku i cieszyć się honorami, gdyby sumienie wyrzucało mi, że działałem z obawy przed opinią publiczną”.

Dnia 26 listopada 1915 r. przewieziono burmistrza brukselskiego do Celle - Schloss (Hanowry) a 7 marca 1916 r. do więzienia wojskowego w Berlinie, potem powrócił do Celle-Schloss, skąd 30 października 1918 r. odstawiono go do Goslar. Stamtąd zbiegł 13 listopada.

Po drodze dowiedział się, że uży-



Żołnierze belgijscy obsługują średniego kalibru dział przeciwlotnicze nowej konstrukcji.

przedmioty zarekwirowane nie będzie się ludności płaciło. Burmistrz nie zaprzeczył takiemu postępowaniu, w przekonaniu, że zostanie ono zastosowane dopiero od czasu gdy całe 20 milionów, w tym 4 miliony, pozostałe do zapłacenia, zużyte zostaną na ustalone cele. Jednak generał Lüttwitz uparł się, by płacenie rekwiizycji przerwać natychmiast, i w następstwie przeszkodzić w zużyciu na wyznaczone cele 4 milionów, pokrytych przez bony kasowe, nadal będących w obiegu. Aby zamiar ten udaremnić, burmistrz pośpiesznie za wiadomości okólnikiem wszystkie banki, w tym także Deutsche Bank, że owe bony kasowe zostały unieważnione, wobec czego w przypadającym na 30. terminie płatności nie będą płacone”.

Dnia 26. września burmistrz otrzymał zaproszenie do siedziby gubernatora niemieckiego. W kilka minut później członkom rady miejskiej doręczono takie same zaproszenie. Gubernator powiadomił ich o aresztowaniu p. Max'a. Ławnicy i p. Vauthier, który im towarzyszył, uzyskali pozwolenie na krótką rozmowę z burmistrzem, który niespostrzeżenie wsunął do dłoni p. Jacquain karteczkę z następującym napisem: „Ko-

rozmaite przygody. W Saint-Trond żołnierze niemieccy zamierzali strzelać do wozu, którym jechał burmistrz.

Przywódcą rewolucjonistów niemieckich, nazwiskiem Einstein „wyszował” burmistrzowi i oświadczył mu, iż robotnicy i żołnierze zawsze potępiali sposób traktowania go, jak również wybryki, dokonane w Belgii.

Wieczorem 15. listopada p. Adolf Max powrócił do swego mieszkanka, skąd nazajutrz z polecenia króla Alberta zmuszony był wyjechać do Lophem. Zaś w niedzielę 17. listopada, w czasie pierwszego posiedzenia rady gminnej Brukseli, p. Max wygłosił niezapomniane przemówienie, w którym powiedział:

„Cześć tym wszystkim, którzy w olbrzymiej tej bitwie zajmowali stanowisko bojowe, kiedy to trzeba było, aby żadne ramię, żaden mózg nie pozostał nie czynny, ponieważ straszny konflikt, który w czasie przeszło 4 lat wstrząsał światem, co zresztą często powtarzano, stawiał naprzeciw siebie nie tylko prawo i siłę. Stawiły sobie czoło również: sprawiedliwość i chęć podboju oraz panowania, prawda i kłamstwo, cywilizacja i dziczność. Despotyzm i reakcja wystąpiły przeciwko demokracji, jednym słowem: przeciwko przeszłości wystąpiła przyszłość.

„Belgia i jej stolica cierpiały okropnie w tej wojnie ale korci mnie wprost, by powiedzieć, że nie żałuję napaści na nasz kraj, która zmusiwszy go do chwycenia za broń dla uratowania honoru, ochroniła go przed rolą bierną w wielkim pojedynku o wszystko, co dla narodów, jak i pojedynczych ludzi stanowi cenę życia”.

Burmistrz Brukseli z roku 1939, zawsze ten sam Adolf Max, pozostał godnym burmistrza z lat 1914-1918. Można było stwierdzić to już trzykrotnie od czasu rozpoczęcia się wojny hitlerowskiej: w izbie posłów, w której p. Max, nazajutrz po napaści na Polskę, wygłosił słowa, nacechowane wielką doniosłością i wzruszającą godnością, w radzie gminnej Brukseli, gdzie burmistrz skreślił obojętne, spadające na stolicę i wreszcie, podczas ceremonii na placu Męczenników, w czasie której p. Max powiedział: „Naród belgijski, który w historii zajął zaszczytne miejsce, na usiłowania oniesmielenia jest niewrażliwy. Pragnie on pozostać jedynym sędzią decyzji, które mogłyby mu podyktować jego honor, jego interesy, troska o zachowanie nienaruszalności granic, wola zapewnienia pełnej suwerenności swych praw.

„Prior”.



Zamek królewski w Brukseli.

# PIERWSZY POSTERUNEK NOCNY.

— Strzelec Jan Stawski — czyta szef kompanii. — Jutro idziecie na wartę. Posterunek nocny Nr. 3 przy strzelnicy — mówi dalej szef. — Pamiętajcie o tym, żeby służbę dobrze pełnić i nie bać się duchów, których i tak tam nie ma.

— Tak jest — odpowiada drżący głos.

Lodowaty dreszcz przeszedł mu po grzbiecie. Czuł się nieswój. Spojrzał na kolegów. Uśmiechali się jakoś dziwnie do niego, jakby chcieli powiedzieć „szkoda cię, brachu”. Zmroziło go powtórnie. Nie słyszał już reszty rozkazu, w głowie miał dziwny szum.

Po rozkazie powlókł się z innymi na kolację. Nie jadł prawie nic. Coś go dusiło za gardło, a w uszach dzwijały mu słowa szefa „posterunek nocny Nr. 3 przy strzelnicy.” Co to będzie? co to będzie — myśli Janek przez cały wieczór, a przed oczyma stają mu wszelkie zasłyszane okropności, których tak wiele krąży wśród kolegów o ponurej strzelnicy wśród lasu.

Czego tam niema w tych opowiadaniach? Jest wielka ilość pomniejszych duchów, które straszą i przede wszystkim jeden wielki złośliwy, który nie tylko straszy, ale nawet grozi wartownikowi. Nie dalej jak tydzień temu ukazał się Walkowi Sobczakowi. Wielki był jak pół senny. Głowa chowała mu się w gałęziach. Widać było tylko gorejącą paszczę, z której ogień buchał na Walka i okropne oczy, jak głowa ludzka każde, a świecące jak dwa księżycy. Kłapał nieustannie straszonymi kłami. Przewracał ślepiami i, czarny jak słup, zbliżał się do Walka, chociaż ten go przepisowo zatrzymał.

— O rety — jęknął Janek — żeby tylko nie otrzymać o północy.

I znowu suną mu przed oczyma inne duchy, te mniejsze, które ciągną wartownika za płaszcz lub rękaw, jeśli wśród ciemności nadejście na grób poległych w czasie wielkiej wojny żołnierzy. Te groby — przecież tam słycać stale jakieś przejmujące jęki i płacz. Czasem znowu coś uderzy po głowie, lub muśnie policzek. Potem szelesci coś w krzakach a spod nóg porywają się jakieś niewidoczne stworzenia. Dziw, że się ziemia nie rozstąpi i nie pochłonie biednego wartownika. A o północy, wtedy jakby cały las ożył. Wszędzie słycać gadania, wokół widać liczne postacie i... o rety — jęknął Janek.

— Zbiórka do modlitwy — oznajmił donośnym głosem podoficer służbowy. Poszli. Żarliwie prosił Janek Boga o wcześniejszą zmianę. Śpiewał jak nigdy przed tym. Jednakże ledwie służbowy zgasił świa-



Wrócą znów czasy, gdy polscy żołnierze spełniać będą straż nad granicą Polski.

to i oznajmił „Ciszę”, czarne myśli niby kruki obsiadły go na nowo. W srebrnych promieniach wpadającego przez okno księżycy, widział wszystkie mary i duchy, jak wzięwszy się za ręce tańczyły jakiś dziki diabelski taniec. Żeby nic nie widzieć, zaciśnął oczy aż go bolały powieki. Przewracał się co chwilę na inną stronę i chował głowę pod kocem. Po chwili był cały mokry od potu, a jednak zasnąć nie mógł. W dodatku przypomniał sobie, że nocami chodzą po lesie także złodzieje. Niepocieszony, trapiiony tylu okropnościami, biedny Jasio w końcu jednak zasnął.

Ciężki to był sen. Wszystkie straszdyła, o których myślał przed zaśnięciem, trapiły go i teraz. Widział siebie jak z karabinem w ręku wśród ciemności usiłując przeszkodzić kradzieży drzewa. Złodzieje nie zwracają na niego uwagi, mimo, że krzyczą na nich z całych sił. Składa się. Chce wycelować lecz nie może, bo oto olbrzymi duch wyrzyna mu karabin i rzuca go daleko za siebie. Teraz zobaczyli go złodzieje. Porwali za siekiery i biegną do niego.

— Ratunku — woła Janek.

Zbudzili się wszyscy na sali. Jedni śmieją się z niego. Inni pomrukują, niezadowoleni. Robił się rwetes na całego, gdy na salę wszedł służbowy i ogłosił: — Pobudka!

„Posterunek nocny zbiórka w szeregu”.

Skoczył Janek jak oparzony i stanął pierwszy — wiadomo przecież, kto pierwszy, ten ma pierwszą zmianę, kto drugi — drugą, a kto trzeci — trzecią. Podszedł do nich dowódca warty i śmiejąc się rzekł:

— Coś Wam się mocno śpieszy na pierwszą zmianę, Stawski. Wiem już coś o tym, że się duchów boicie. Wstyd: Nawet w kompanii o tym mówią. Żebyście się trochę oswoili i przekonali, że to bajki co opowiadają, postójcie w trzeciej zmianie od godz. 23 do 1. Zrozumiano?

— Tak jest — szepną Janek, blednąc.

Jestem stracony, zginąłem — przeszło mi przez głowę. Wracał powoli i zrezygnowany na swoje miejsce, żeby się namyślić, co czynić wtedy, gdy się spotka oko w oko z duchem.

Wolno mijaly godziny. Wladek Ję-

drych wyszedł o godz. 19 a wrócił o godz. 21, gorąco oczekiwany przez Janka. Ledwie wszedł, a już go Janek pytał: — Jak tam było? Spojrzał na niego Wladek, wzruszył ramionami i odrzekł krótko: — Nic nie było! — Po chwili zaś dodał: — Może będzie po północy, kiedy ty będziesz na posterunku?

Aż przyszła kolej na niego... W ciemności gineły sylwetki rozprowadzającego i Felka Sowy, którego zmienił: Pozostał sam. Stoi oto przy bramie strzelnicy. Przed nim ciemny las. Tajemniczy, szeleszczący zwiędłym, jesiennym liściem. Nad nim błądy księżyc, chowający się co chwilę za chmurami. Boże, jaki ten las ciemny, pomyślał Janek. Zdjął karabin z pasa i potrzęsając bronią ruszył przed siebie, zdecydowany na wszystko. Otoczyły go ciemności. Drzewa lasu, gęsto rosnące, tworzyły dach, poprzez który tylko z trudnością przenikało światło księżycy. Gęste poszycie lasu dodało jeszcze tajemniczości i grozy. Chwilami, gdy księżyc zasłaniały czarne chmury, robiło się tak ciemno, że Janek wpadał na krzew lub drzewo. Odkakiwał wtedy do tyłu, wytrzeszczał oczy i kłui zawzięcie krzak, który go tak przeraził. Zimny pot oblewał go od stóp do głowy. Włosy stawały mu dęba, ilekroć silniejszy poryw wiatru targnął poszyciem. Stawał wtedy i wytężał słuch. Serce biło mu gwałtownie, a w skroniach czuł potężny ucisk. Potem ruszał dalej. Zdarzało się czasem, że idąc wpadał w lej, pozostały tu jeszcze z czasów wojny światowej. Dzwonił wtedy zębami i pokrzykiwał śmiertelnie przerażony. Ale w obawie, że to zasadzka złego ducha, wylazł co tchu z leja, cały mokry od potu, z trzęsącymi się kolanami. Pocięszał się jedynie tym, że dotychczas nie spotkał się jeszcze z żadną zjawą. Sponiewierany przez leje, drzewa i krzaki, dobiegł do kulochwyty, gdzie jak wiedział są mogiły poległych, stanął i zawahał się czy pójść dalej. Podchodząc do grobów przeżegnał się tylko i odbezpieczył karabin. Gotów był strzelać do każdej mary, która mu stanie na drodze, lub ukaże się z boku. Na szczęście duchów i tu nie było. Nie słyszał także owego płaczu, o którym wszyscy tyle opowiadali w koszarach. Uspokoilo go to znacznie. Zabezpieczył karabin i

już chciał go wziąć na pas, gdy w tym zaszumiały gwałtownie gałęzie, a na niego posypał się deszcz zwiędłych liści. Wiatr silnie poruszył krzewami.

— A może to nieczyste — szepnął Janek i trzymając karabin nadal w rękach, ruszył wolno w swoją drogę.

Im dłużej krążył wokół strzelnicy, tym był śmielszy. Na porywy wiatru i szum listowia nie zwracał już w ogóle uwagi. Leje odróżniał w ciemności na równi z krzakami i pniami. Nie walczył już z urojonym przeciwnikiem, ani nie kłui bagnietem pni. Broń nosił teraz na pasie, a jedynie przy grobach zdejmował, jednakże nie odbezpieczał. Dochodził powoli do wniosku, że albo duchy dziś nie wyszły na harce, albo ich tu wcale nie ma. To ostatnie wydawało mu się najprawdopodobniejsze: bo niby dlaczego nie miałyby akurat dziś być duchów? Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej przychodziło do wniosku, że jednak tutaj nie „nieczystego nie ma.” Uspokojony Jasio obchodził już może czwarty raz kulochwyty, gdy raptem na tle krzaków, na małej polanie, zobaczył postać... Serce zamarło mu w piersiach. Nogi wzrosły jakby w ziemię i poczęły dziwnie dygotać w kolanach. Ale nie tylko kolana drżały. Od nich udzieliło się drżenie rękom i całemu ciału. Dech zaparło mu w piersiach. Szczęki zwarły się mocno aż do bólu. Gardło dusiła jakaś niewidzialna dłoń. W głowie poczuł najpierw szum, o potem bicie tysiąca młotów. Czuł, że mdleje. „Boże” — szepnął.

Postać się poruszyła. To wróciło mu przytomność. Zerwał karabin z pasa, skierował w stronę postaci i głosem tak grubym, na jaki się tylko mógł zdobyć, zawołał:

— Stój! Kto idzie?

Widmo stanęło i odpowiedziało spokojnie:

— Oficer służbowy pułku.

Janek nie wierzył swoim uszom. Jakto? Naprawdę nie duch? Uczuł nagle taką radość, że mógłby skakać i krzyżeć.

— Zbliżyć się dla podania hasła — wyrzucił jednym tchem ze siebie.

Oficer podszedł. Wymienił hasło. Potem Jasio zameldował, że podczas jego służby nic ważnego nie zaszło, a na pytanie, czy nie było duchów i czy się nie bał, odpowiedział nieco przyciszonym głosem:

— Nie, panie poruczniku.

Oficer służbowy stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, odszedł. Janek został znowu sam. Ale nie na długo. Zanim bowiem minął powolnym krokiem bramę wejściową, nadeszła zmiana.

— Nareszcie — wyrwało się z jego piersi głębokie westchnienie.

Po powrocie na wartownię, na pytanie kolegów wzruszał ramionami i odpowiadał obojętnie „nic specjalnego nie było.”

Ku.

## CZYTELNICY „Ilustracji Polskiej”

otrzymają bezpłatnie broszurę z opinją lekarzy całego świata, jak można odmłodzić się i zupełnie wyleczyć się z zaziębienia, reumatyzmu, kataru kiszek, artretyzmu, choroby nerek, trawienia, złego obiegu krwi, niemocy piciowej, rozstroju nerwowego, bezsenności i in. — — —

Piszcie do nas po polsku na adres: N. KALEFLUID, 66, Bld. Exelmans, 66, — Paris (16<sup>e</sup>)

### Wyciąć i starannie zachować

NINIEJSZY

**B O N**

udowadniająca zakup nr. 223 „ILUSTRACJI POLSKIEJ” uprawnia Czytelnika do otrzymania wyższej zapomogi łobrowolnej, wypłacanej stałym abonentom „NARODOWCA” w razie śmierci wskutek nieszczyśliwego wypadku przy pracy — w myśl warunków, ogłaszanych :-: w „NARODOWCU” :-:

ADAM CZEKALSKI

## MILION W ZŁOCIE

POWIEŚĆ

3)

(Ciąg dalszy).

- Halo! Halo!...
- Czy pan doktor jest w domu?
- Pan doktor wyjechał z Łodzi dziś wieczorem.
- Wyjechał... dziś wieczorem... jaka szkoda!
- Kto mówi? — dopytywał natarczywy bas po drugiej

stronie.

— Skoro pana doktora nie ma, sądzę, że zbędnym jest legitymowanie się — odrzekła pani Ewa i zawiesiła słuchawkę. Przez chwilę stała na jednym miejscu, czując, że naraz głowa kręcić jej się poczyna i szum w niej powstaje. Z pokoju Lili przez uchylone na korytarzyk drzwi — dochodziły ciche i bolesne jęki córki. Te ciche kwilenia przywróciły znowu trzeźwość umysłu pani Ewie. Opanowała się w jednej chwili i zdecydowanym ruchem podniosła słuchawkę do ucha. Tym razem telefonowała do starego przyjaciela ich domu, doktora Mazurkiewicza. Oznajmiła mu krótko o chorobie Lili i prosiła o natychmiastowe przybycie.

— Zaraz przyjeżdżam — odrzekł na to lekarz.

Do uszu pani Ewy znowu dobiegły ciche kwilenia córki. Poszła do niej, a idąc, czuła jednocześnie, że jest bezgranicznie wyczerpana tragicznym i tajemniczym wypadkiem, do tego stopnia wyczerpana, że myśli roztrącały jej się jedna o drugą pod czaszką i tworzyły jakiś niepojęty chaos.

— Liliś, dziecko najdroższe — szepnęła matka, przysiadając na krawędzi łóżka — Liliś, czy bardzo cierpisz?

W odpowiedzi rozległ się tylko cichy, stłumiony jęk Lili i pani Ewa zobaczyła jak lży jej ściekają jedna po drugiej na przeczystą biel poduszki. Na ten widok jej samej lży zakręciły się w oczach, ale nie dopuściła ich na powieki, bo pojmowała jedno doskonale, iż obecnie musi ona być tym bardziej trzeźwa, tym bardziej opanowana.

Pokojowa i służąca maczały raz po raz płaty waty w spirytusie i przykładały je na obolałe miejsca panienki, co zdawało się przynosić jej znaczną ulgę, bo jęki stawały się coraz cichsze i coraz mniej bolesne.

W godzinę później przybył doktor Mazurkiewicz i obejrzwszy pokryte sińcami plecy Lili, napisał na kartce receptę i wysłał zaraz służącą do apteki. Po czym, chodząc szerokimi krokami po pokoju, kręcił głową i mruzczał coś do siebie, jak gdyby zastanawiał się nad całą tą sprawą i próbował ją rozwikłać. W końcu usiadł przy łóżku i wzięwszy Lili za rękę, rzekł łagodnie:

— Jakże się pani czuje, dziecko? Czy rany bardzo bołą?

— Teraz mniej — odszepnęła słabym głosem Lila — znacznie mniej.

— To dobrze, to bardzo dobrze... A — czy pani mogłaby mi odpowiedzieć na niektóre pytania?

— Proszę, niech pan pyta...

Doktor zadumał się na chwilę, przymknął do połowy powiekami swoje spłowiałe siwe oczy i następnie odezwał się:

— Proszę mi powiedzieć, co to wszystko znaczy? Kto panią tak brutalnie pobił?

— Nie wiem.

— Więc nie zna pani człowieka, który przyszedł do pani pokoju i tak okrutnie wysmagał ją batem?

— Ja nie widziałam żadnego człowieka tutaj, doktorze.

— Nie rozumiem... nie widziała pani żadnego człowieka? Więc któż tak bestialsko obszedł się z panią, Lili?

— Nie wiem, doktorze, proszę mi wierzyć, że ja naprawdę nic nie wiem.

— Niech że mi pani nie opowiada takich banialuków niepodobnych do wiary! Przecież to widoczne, że została pani napadnięta przez jakiegoś zbrodniarza, przez jakiegoś zbrojeńca, który dopuścił się na tobie tak sromotnego gwałtu.

— To prawda, wszystko za tym przemawia, ale ja nie potrafię powiedzieć, jak się to stało i ktoby to mógł być.

Doktor poruszył się niespokojnie na miejscu i wziął dla zbawienia rękę Lili.

— Puls normalny — rzekł następnie jakby do siebie — gorączki nie ma, a jednak zdajesz się gorączkować, moje dziecko.

Pani Ewa skinęła na lekarza i oboje oddalili się od łóżka, rozmawiając szeptem na temat całego tego wypadku dzisiejszego.

— To już po raz wtóry mamy taki straszny wypadek — szeptała pani Krupińska.

— Jak to? Drugi wypadek takiego maltretowania? — zdziwił się lekarz. — I czemuż nie dałyście panie znać władzom, czemu nie wszczęłyście śledztwa? Przecież takiego gwałtu nie wolno puszczać płazem.

— Proszę mnie wysłuchać, doktorze, i rozważyć rzecz całą według swojego rozumu: Pierwszym razem Lila została obsypana czułościami, a następnie omal nie uduszona w tym samym pokoju. Odciski palców na szyi sama u niej widziałam. Co najciekawsze, że drzwi te oto, łączące nasze sypialnie, były zamknięte w tym momencie na klucz, chociaż drzwi te od niepamiętnych czasów nigdy zamkniętymi nie były. Klucz gdzieś zginął. Kiedy Lila zaczęła krzyczeć i wzywać pomocy, próbowałam dostać się do niej tymi właśnie drzwiami i wtedy stwierdziłam, że są zamknięte. Chcąc jednak dostać się do córki, przebiegłam całe mieszkanie drogą przez kuchnię i wtedy zobaczyłam ją leżącą na podłodze bez życia, a na jej szyi odciski palców, jakby po duszeniu. Przerażona, otworzyłam okno i zaczęłam wzywać pomocy. Jakoż niebawem zjawił się policjant, który przyprowadził z sobą doktora Borowicza...

— Borowicza? Cóż to znowu za nowy lekarz w Łodzi? — zdziwił się stary Mazurkiewicz. — Nigdy dotąd nie słyszałem o istnieniu w naszym mieście podobnego doktora. To ciekawe... Ale proszę mówić dalej... Więc przyszedł ów „lekarz” Borowicz.

— Tak, przyszedł ów Borowicz i podczas, gdy ja rozmawiałam o całym wypadku z policjantem, on zajął się córką i w ciągu paru minut zupełnie usunął ślady duszenia z jej szyi.

— Niemożliwe!

— Zapewniam pana, doktorze, że bynajmniej się nie mylę, ani nie uległam wtedy złudzeniu. Toż zarówno ja sama, jak policjant i moja służąca — wszyscy dokładnie widzieliśmy ślady duszenia, a gdy Borowicz zwizytował córkę i przywołał nas do niej — ślady zniknęły.

— I jakichże zabiegów dokonał ów cudotwórca? — spytał ironicznie lekarz.

— Nie wiem — odrzekła krótko pani Ewa. — Zajęta rozmową z policjantem, nie była świadkiem owych zabiegów.

Mazurkiewicz pokręcił niedowierzająco głową, a następnie zadumał się, powtarzając raz po raz pod nosem: „Borowicz, Borowicz...”

— To wszystko zakrawa na bajkę z tysiąca i jednej nocy — rzekł następnie głośno — i proszę mi wierzyć, kochana pani Ewo, że nie ma w blisko milionowej Łodzi ani jednego tak naiwnego człowieka, któryby w opowiadanie to uwierzył.

— A jednak ja wierzę, doktorze.

— W co mianowicie?

— Że Borowicz w jakiś tajemniczy sposób usunął ślady duszenia z szyi mojej córki.

— W ciągu paru minut?

— Tak.

— Żart na stronę, kochana pani Ewo, ale czy pani wierzy w cuda medyczne w dwudziestym wieku? Czy pani się zdaje, że wystarczy przyjść do chorego, spojrzeć na obolałe miejsce, wykonać taki czy inny hokus-pokus i już po chorobie?

— Nie, w cuda medyczne nie bardzo wierzę, chociaż nie znam się prawie wcale na medycynie, ale muszę uwierzyć w eksperyment, którego prawie na moich oczach dokonał Borowicz.

— Borowicz, Borowicz — odrzekł drwiąco Mazurkiewicz. — Po wojnie światowej namnożyło się na całym świecie tylu najrozmaitszych cudotwórców, nazywających siebie „wtajemniczonymi”, „magami”, „profesorami” światowej sławy, że wcale nie zdziwiłbym się, gdyby ów Borowicz był jednym z takich kombinatorów, żerujących na naiwności ludzkiej. Tak czy owak jednak, musi pani powiadomić władze o całym wypadku, a ja zajmę się sprawdzeniem tożsamości imię pana Borowicza, owego tajemniczego „profesora wszech nauk lekarskich”. Kto wie, czego możemy dowiedzieć się jeszcze przy bliższym zajrzeniu w prywatne życie tego jegomości.

— Przypominam sobie właśnie w tej chwili, że policjant, który przybył poprzedniego dnia krytycznego na mój krzyk o pomoc, obiecywał złożyć raport swoim władzom o wypadku, ale jak dotąd nikt u mnie się nie zjawił z policji.

— Może nie przywiązują nadzwyczajnej wagi do całej sprawy? — odrzekł na to stary lekarz. — A może też być i tak, że policja zajęta jest prowadzeniem dochodzenia w jakiejś pilniejszej sprawie „ślepego Maksa” czy innej bandy gangsterów wielkomijskich. Tak czy owak jednak postaram się skomunikować telefonicznie z komisarzem Krajewskim i dowiedzieć, czy meldunek taki wpłynął istotnie do komisariatu.

— A cóż pan doktor myśli o całej tej zagadkowej i przerażającej mnie napaści? Jak ją tłumaczyć? — spytała pani Ewa, pełna wciąż niepokoju o jedyne swoje dziecko, o jedyną pociechę, jaka jej została po stracie męża.

— Cóż tu myśleć, łaskawa dobrodziejko? Ja w cuda i rozmaite wydarzenia baśniowe nie wierzę. Ale gdy pani pyta o to, co ja o całym wydarzeniu myślę, powiem to, do czego upoważnia mnie moja wiedza: Pani córka jest prześladowana przez jakiegoś zbrojnego, który ją maltretuje. Zagrożona nieustannie nowymi plagami, nie chce, bo się lęka, wyznać prawdę. To i wszystko, jeśli o jedną stronę medalu chodzi. Druga strona znowu przedstawia się tak: być bardzo może, że histeria odgrywa tutaj również znaczną rolę.

— Ja w to nigdy nie uwierzę, bo sam pan nie wierzy w ową histerię również doktorze. Oboje znamy pod względem zdrowia Lile prawie jednakowo: ja jako matka, pan zaś, jako jej lekarz. I wiemy doskonale, że nie zdradzała ona nigdy dotąd najmniejszych jakichś zbrojeń psychicznych. Skoro tedy przez dwadzieścia kilka lat nie dostrzegaliśmy u niej najmniejszego śladu hysterii, skądże ona wzięłaby się nagle teraz.

— Wywód słuszny, ale nie zupełnie przekonywujący. Lecz mniejsza o niego, proszę mi tedy powiedzieć swoją opinię na ten temat.

— W tych napaściach na moją córkę odgrywa rolę jakaś tajemnicza, groźna a nieznana nam dotąd ręka.

— Dalej?

— Jakiś wróg czyha na nas i wróg ten w sposób zgoła nam nieznaną prześladowuje Lilę, znęca się nad nią, katuje ją, a sam wciąż jest niewidzialny.

Stary Mazurkiewicz parsknął śmiechem.

— Doskonała bajka o czapce niewidce. Jest pani zatem zdania, kochana pani Ewo, że jakiś ktoś przywdział na się czapkę niewidkę i używa sobie do woli, nie będąc ani widzialnym, ani uchwytym. Doskonała historia — śmiał się doktor. — Kiedyś czytałem znakomitą nowelę Connan Doyle'a na ten temat, ale nowela takiego fantasty literackiego jak ten Anglik, a rzeczywistość nasza powszednia łódzka, to dwie kolosalne różnice. Connan Doyle opowiada w tej noweli, że pewien lekarz zdobył archeologiczny przedmiot, który nie miał żadnego odpowiednika w rzeczach powszechnie dzisiaj używanych przez ludzi. Wierzył jednak, że przedmiot ten jest związany z jakąś dawną i bardzo starą, tragiczną historią. I zdarzyło się raz, że do owego doktora przybył w gościnę kolega sceptyk, który nie tylko nie podzielił jego mniemania, gdy mu przedmiot ów pokazał, ale go jeszcze wydrwił. Wtedy lekarz zrobił taki eksperyment: pod poduszkę przyjaciela wsadził ów tajemniczy przedmiot, a kiedy gość zasnął, miał straszliwy sen: widział mianowicie torturowanie pięknej kobiety z wieku trzynastego przy pomocy właśnie tego tajemniczego przedmiotu. Dzięki temu snowi, jak chce Doyle, sprawa przedmiotu i sposobu jego użycia całkowicie się wyjaśniła.

— Nie przypuszczam w naszym wypadku żadnej zaświatości, ale... wierzę, iż w tym wszystkim coś musi być takiego, czego, przynajmniej na razie, zrozumieć i rozwikłać nie jesteśmy w stanie.

— Zaręczam pani, że policja nasza rozwikływała daleko trudniejsze tajemnice. Dlatego najmocniej wierzę, że i ten wypadek znajdzie w jej rękach rozwiązanie.

— Oby proroczymi były słowa pańskie, doktorze.

— Przekona się pani, że mam rację.

Rozmowę przerwało wejście służącej, powracającej z apteki z lekami. Doktor zabrał się natychmiast do założenia bandażów na poranionych plecach Lili, ale jakież było jego ogromne zdziwienie, gdy zbliżywszy się do chorej i obnażywszy jej plecy, zobaczył brak jakiegokolwiek śladu poranienia.

— W imię Ojca i Syna!... — zawołał z przejęciem. — Czy mnie czart za nos wodzi?

— Co się stało doktorze? — wyszeptęła strwożonym głosem pani Ewa, pochylając się nad łóżkiem.

— Patrz pani! — wskazał lekarz plecy chorej. — Rany... zniknęły.

— Istotnie... Co to wszystko znaczy?

— I ja o to samo mógłbym zapytać, bo również nie umiem wytłumaczyć sobie tego. Chyba my wszyscy tutaj ulegamy zbiorowej halucynacji, inaczej i być nie może. Toż ja dokładnie pamiętam, że ślady ran bardzo bolesnych były, widziałem je przecież na własne oczy, dotykałem ich własnymi rękami, widziała je pani, widziały je dziewczęta służące. I nagle... Nie, to przechodzi imaginację ludzką.

— Wierzy pan teraz, doktorze?

— Wierzę, nie wierzę — obruszył się lekarz — tu nie o to chodzi, ale o stwierdzenie przyczyny tych zjawisk. Naturalnie w takie cudowności nie uwierzę nigdy, ale muszę uwierzyć w prawdziwość tych zjawisk, chociaż chwilowo nie potrafię ich wytłumaczyć. Czyżby zachodził tym razem osobliwy wypadek stygmatyzmu? Ale w takiej formie? O czymś podobnym nie słyszałem nigdy dotąd.

— To wszystko mnie przeraża — wyszeptęła zalekłym głosem pani Ewa — przeraża mnie tym więcej, że chodzi tu o cierpienia mojego jedyne dziecko, a ja nie znajduję żadnego sposobu ratowania jej przed tymi prześladowaniami.

— Kiedy zdarzył się poprzedni wypadek? — spytał naraz Mazurkiewicz.

— Ubiegłego piątku około trzeciej godziny rano.

— A dzisiaj — mamy także piątek, godzina... — lekarz spojrzął na zegarek — po dwunastej... Czyżby to był zwykły przypadek, zwykły zbieg okoliczności?

Lekarz przeszedł się w zadumie raz i drugi przez pokój, następnie zatrzymał się naraz przed panią Ewą i rzekł:

— Musimy Lile zabrać do...

Jednocześnie, na wszelki wypadek, należy dać znać policji. Niechaj zajmie się ona tym wszystkim, niech zbada to wszystko, co uzna za potrzebne, a wtedy zobaczymy.

Pani Ewa chciała coś rzec, gdy naraz w przedpokoju ozwał się dzwonek telefonu. Oboje starsi państwo spojrzeli zdumionymi wzrokami na siebie, lekarz zerknął na tarczę zegara, stojącego na konsoli.

— Proszę pani, telefon — przerwała milczenie pokojowa.

— Idź zobacz, kto dzwoni.

Służąca poszła do przedpokoju i po chwili rozległ się jej głos:

— Pan porucznik Stadnicki.

Lila usiadła szybko na łóżku.

— Pozwól mamie — rzekła z radością w głosie, że ja sama porozmawiam z Jurkiem — i zakręciwszy się we wzorzysty szlafroczek poszła szybko do telefonu.

Zaledwie przytknęła słuchawkę do ucha, gdy w rezonatorze ozwał się dźwięczny i tak bardzo kochany głos Jerzego:

— To ty, Liluś?

— Tak, ja, czy stało się co złego, że dzwoniisz o tak późnej godzinie?

— To właściwie ja powinienem zapytać, co znaczy to nagłe wezwanie telegraficzne? Czy jesteś chora, czy może pani matusia jest cierpiąca? Mów mi, bo ja tu ze skóry poprostu wychodzę.

— Wezwanie telegraficzne? Nic nie rozumiem. Ja nie nadawałam wcale do ciebie depeszy.

— Nie nadawałaś depeszy? Ale przecież ja mam ją przy sobie i zaraz ci ją mogę odczytać. — I porucznik, nie czekając na zezwolenie, powtórzył słowa telegramu: „Przyjeżdż — natychmiast. Jesteś konieczny. Lila”.

— To dziwne doprawdy, bo ja wcale nie nadawałam takiej depeszy — odrzekła w tubę telefoniczną Lila. — Ale może to mama, poczekaj sekundę, zaraz się dowiem.

Lila uchyliła drzwi do pokoju i przywołała matkę.

— Czy ty nadawałaś jaką depeszę do Jurka, mamie? — spytała.

— Depeszę do Jurka? Nie, nie nadawałam żadnej depeszy. Zdumiona ogromnie i zaniepokojona już Lila znowu zwróciła się do mikrofonu.

— Nie, kochany Juruś, mama również nie nadawała żadnej depeszy.

— Teraz to znowu ja nic nie pojmuję, bo przecież tę depeszę mam przy sobie i każdej chwili mogę ci ją pokazać, gdy tylko ten przekłety pociąg nadejdzie i będę mógł ruszyć się stąd.

— Juruś, to nie z Warszawy mówisz?

— Ale gdzież tam, siedzę od dwóch godzin w Kutnie i zapewne jeszcze ze dwie godziny przyjdzie mi tu siedzieć, jak na pokucie.

— Biednyś ty, mój chłopczyku!

— Liluś, jak się czujesz? Czyś zdrowa?

— Ach, nie zupełnie, ale opowiem ci wszystko dokładnie, gdy wreszcie przyjedziesz, tak dawno cię nie widziałam... A może dostałbyś taksówkę i nią przyjechał do Łodzi?

— Taksówka w Kutnie? Nie, serdecznie, w Kutnie nie ma taksówek. A gdyby nawet były, to i tak o tej godzinie pewnie nie dostałbym jej, bo obywatele kutneńscy zbyt porządnie się prowadzą, aby po północy, choćby nawet w okresie karnawału, nie spać.

— No, to do widzenia, chłopczyku najmilszy.

— Łapiątka kochane całuję.

Lila położyła słuchawkę na widełkach i chwilę stała na miejscu, zastanawiając się nad co tylko otrzymaną wiadomością od Jurka. Uderzyło ją najbardziej to, komu zależało na wprowadzeniu Jurka w błąd, na wysłaniu depeszy, ażeby natychmiast przyjechał.

— Czy cię to nie intryguje, mamie? — spytała Lila, wchodząc do pokoju, w którym czekali na nią oboje starsi państwo.

— Co mianowicie?

— No, ta wiadomość Jurka, że dostał dzisiaj depeszę niby ode mnie wzywającą go do natychmiastowego przyjazdu.

— To ciekawe, kto wpadł na tak niedowcipny i złośliwy pomysł.

— A może jednak wysłała pani taką depeszę? — spytał lekarz.

— Nic podobnego — zaprzeczyła stanowczo Lila. — Doskonale zdaję sobie przecież sprawę z moich kroków i gdybym istotnie wysłała depeszę, pamiętałabym o tym, no i, nie miałabym przecież powodu zapierania się tego.

Lekarz pokiwał głową, spojrzął na zegarek i pożegnawszy obie panie, odszedł. Obie panie siedziały czas jakiś jeszcze, rozważając wszystkie wypadki, tak dziwne i wprost niesamowite, jakich były ofiarami od tygodnia, po czym poszły na dobrze zasłużony odpoczynek, ale tym razem do jednego pokoju pani Ewy.

## V.

### Kto nadał depeszę?

Porucznik lotnictwa Jerzy Stadnicki zajmował w szefostwie aeronautyki odpowiedzialne stanowisko najzdolniejszego konstruktora - inżyniera z dyplomami politechniki krajowej i zagranicznej, a chociaż młody zarówno wiekiem, jak i rangą, przecież miał bardzo poważny głos w sprawach lotnictwa wojkowego. Jego samolot bombowy, duma polskiego lotnictwa, stanowił najlepszą konstrukcję ze wszystkich tego rodzaju jednostek bojowych nawet najbardziej rozbudowanego lotnictwa światowego. Słusznie też władze polskie strzegły tajemnicy budowy tego bombowca bar-



dzo pieczęlowicie, a dla konstruktora Stadnickiego miały duże uznanie.

Tego dnia porucznik siedział nad szkicami najnowszych samolotów pocigowych, długoletniej pracy swojego kolegi i przyjaciela, który plany te przesłał do szefostwa dla przejrzenia i aprobaty, gdy zadzwieczał dzwonek telefonu na biurku, a w mikrofonie odezwał się głos pułkownika Grodeckiego.

— Rozkaz, panie pułkowniku — odrzekł po wysłuchaniu pułkownika porucznik i zapakowawszy szkice do wielkiej koperty, zakłamał ją i schował do wielkiej szafy ogniotrwałej, po czym udał się do gabinetu swego szefa.

— Usiądź pan — wskazał pułkownik krzesło porucznikowi — i posłuchaj, co tu znowu piszą.

Porucznik spełnił rozkaz i przygotował się do wysłuchania nudnego zapewne odczytywania artykułu o jakiejś nowej aferze szpiegowskiej za granicą. Takie wtajemniczenie swoich podkomendnych we wszelkiego rodzaju szczegóły prasowe afer szpiegowskich było maleńkim bzikiem porucznika, znanym powszechnie prawie wszystkim jego podwładnym.

— Słucham pana pułkownika.

— Znowu ciekawa afery w Hawrze — odezwał się pułkownik, podsuwając Jurkowi etui z papierosami. — Ale tym razem afery ta ma ciekawsze niż wszelkie inne podłoże. To już nie zwykłe wykradzenie planów przy takiej czy innej pomocy, to już nie wciągnięcie w grę kogoś ze słabszych oficerów marynarki, ale afery par excellence światowego pokroju.

Porucznik siedział obojętnie, chociaż starał się okazać zainteresowanie i skupienie i gotów był w tej chwili wysłuchać całej nawet litanii skarg i wyrzekań na temat działalności obcego wywiadu. W ciągu paroletniej współpracy z pułkownikiem tak już był przywykł do jego bzika, że nigdy się na niego za to nie obrażał.

Tym razem jednak zwykły przypadek uwolnił go od wysłuchania długiego tasiemca dziennikarskiego. Oto w chwili, gdy pan pułkownik, rozłożywszy „Paris Soir” na biurku, rozpoczął odczytywanie tytułów i podtytułów ogromnego artykułu sprawozdawczego, operującego w zasadzie samymi ogólnikami, wszedł żołnierz i zameldował, że do pana porucznika Stadnickiego jest depesza z Łodzi.

— Depesza z Łodzi? — zdziwił się, gdyż dawno już temu umówili się byli z Lilą, że nigdy nie będą porozumiewali się przy pomocy depezy.

Stadnicki odebrał depezę od żołnierza i schował ją do kieszeni.

— Może to co ważnego — zwrócił uwagę pułkownik — przeczytaj ją pan.

Jurek, otworzył éwiartkę papieru i przeczytał półgłosem: „Przyjeżdż natychmiast. Jesteś konieczny. Lila”. Coś złego tknęło go. Co może oznaczać ten telegram? — przemknęło mu przez myśl. Przecież Lila nigdy dotąd, jak znamy się prawie lat dwadzieścia nie używała tej drogi korespondencji.

— Ot i widzisz pan — odezwał się pułkownik. — Wzywają pana, sprawa śnać i pilna i ważna.

— Istotnie... W związku z tą depezą pozwalam sobie prosić pana pułkownika o parę dni urlopu.

— Ile?

— Siedem.

— Dobrze. Może pan jechać i proszę bawić się wesoło w polskim Manchesterze. Nu, ale tym razem z naszego czytania nic nie wyszło. Zabierz pan jednak dziennik do pociągu i przeczytaj sobie w wagonie tę sprawę. Wiem, że niektóre fakty uderzą cię tak samo jak mnie, bo taka sprawa nie zdarza się codziennie. Chociaż tam panowie dziennikarze piszą w tym sprawozdaniu tak, aby nikt niczego się nie dowiedział, ale to, co dla laików ukryte, nie będzie tajemnicą dla fachowca.

— Dziękuję panu pułkownikowi.

— Tak, — powstał pułkownik. — Ale pamiętaj pan dobrze ukryć plany inżyniera Kosibowicza, a klucze od kasy mnie przynieść.

— Rozkaz panie pułkowniku.

— Nu, do widzenia, do widzenia za tydzień... Dokumenty przysyłę panu przez ordynansa, albo sam przyjdź je sobie odebrać u mnie.

Stadnicki skłonił się i odszedł do swojego pokoju. Raz jeszcze sprawdził, czy ogniotrwała kasa, w której zamknął cenne wykresy, należycie zabezpieczona, obmacał zamki, spróbował drzwi, po czym odniósł klucze pułkownikowi i otrzymałszy odeń dokumenty podróży, ubrał się i wyszedł na ulicę.

Była godzina przedpołudniowa. Ulice pełne ludzi, wiosennie prawie ubranych, bo tegoroczny styczeń podobniejszy był raczej do marca, tak było ciepło i łagodnie w powietrzu. Stadnicki szedł wolno w stronę swojego mieszkania, zastanawiając się nieustannie nad tym, co się tam w Łodzi mogło stać, że raptem otrzymał depezę tak lakoniczną, tak nic, a zarazem i tak wiele mówiącą? Obawiał się, że może wydarzyło się jakie nieszczęście, może Lila chora, może to, może tamto... Mógł wprowadzić zatelefonować do Łodzi i dowiedzieć się przyczyny, ale skoro już otrzymał urlop, pojedzie tam osobiście.

Do pociągu miał jeszcze przeszło dwie godziny czasu, nie potrzebował przeto zbyt się spieszyć. Wszedł po drodze do baru na drugie śniadanie, a kiedy siedział przy stoliku, przypomniał sobie wręczoną mu przez pułkownika francuską gazetę. Wydobyl ją przeto z kieszeni i rzucił okiem na olbrzymi tytuł na pierwszej stronie:

„Inż. Krupiński skazany na 8 lat więzienia za szpiegostwo”.

Przeczytawszy to, aż podskoczył na miejscu. Ten tytuł uderzył go niby obuchem w głowę, aż mu w oczach pociemniało.

— Krupiński, Krupiński — przelatywało mu błyskawicą przez mózg. — Czyżby ten Krupiński, skazany w Hawrze za szpiegostwo, miał cokolwiek wspólnego z Lilą, z jej od wielu już lat zaginionym ojcem?

Pochylił się nad gazetą i zaczął wolno i uważnie odczytywać treść bombastycznego artykułu, zawierającego raczej więcej wymysłów pod adresem ukaranych szpiegów, aniżeli istotnej treści z rozprawy. Nie zdziwił się tym bynajmniej. Cenzura wojskowa przesłała sprawozdanie przez swoje sito i puściła do prasy to tylko, co nie narażało bezpieczeństwa państwa i tajemnic wojskowych. Ale Jurek, jako wybitny fachowiec w swoim dziale, mimo wielu nieudomówień i niedociągnięć, dowiedział się jednak bardzo wiele z artykułu. Lecz najbardziej uradowało go to, co mówiono o inż. Krupińskim: „młody, trzydziestoletni człowiek”. A więc nie ojciec Lili, a więc człowiek zgoła jej obcy. To go pokrzepiło, ucieszyło ogromnie. Więcej nie zajmował się tym artykułem, ani aferą wykrytą w Hawrze. Ostatecznie tyle afer rozgrywa się codziennie niemal na szerokim świecie, że jedna więcej nie stanowi ewenementu, żadnej nadzwyczajności. A że tym razem wśród zdemaskowanych szpiegów znalazł się również obok Polaka jakiś tam hindus czy malaj — nie jest również w tym dziale nowością. Jak nie jest nowością i to, że w danym razie omotywowano lotników z morskiej bazy lotniczej francuskiej.

Jednakże sprawa ta, zapewne przez to, że w niej figurował Krupiński, zdenerwowała go mocno. Był poruszony samym faktem, że człowiek noszący takie samo nazwisko, jak jego najmilszy, maleńki dzieciak, okazał się szpiegiem na rzecz państwa wrogiego, zarówno Francji jak i Polski.

Porucznik wypił kawę, zapalił papierosa, po czym wsadził gazetę do płaszcza i poszedł ku domowi.

Kiedy zrobił zaledwie jeden krok na schody domu, w którym mieszkał, natknął się na młodego i bardzo eleganckiego człowieka, w którym uderzyło go jedno tylko, a to oczy — oczy zielone i błyszczące fosforycznie nawet za dnia jak u tygrysa. Mimo woli tylko spojrzął w twarz temu człowiekowi i odrazu spostrzegł w jego twarzy owe zielone oczy.

A nieznajomy przeszedł obok niego obojętnie i spokojnie, zdając się nawet nie widzieć porucznika. Stadnicki poszedł wolno do góry po schodach i wciąż myślał o oczach nieznanego człowieka, którego spotkał w drzwiach. W końcu jednak roześmiał się wesoło i mruknął pod nosem:

— Bóg z nim! Co mnie obchodzą jego oczy?... Chociaż — to ciekawe: zielone oczy. Czasem kobiety mają zielone oczy, ale tego nieznajomego mają specyficznie zielony odcień.

I dziwna rzecz: porucznik wszelkimi siłami starał się nie myśleć o zielonych oczach nieznajomego, a jednak nieustannie wracał do rozważań na ten temat.

— Zielone oczy — mruczał wciąż, pakując rozmaite manatki do walizy. — Zielone oczy tygrysa w twarzy ludzkiej... Żymelka! — huknął następnie w stronę kuchni, gdzie porał się z butami porucznikowskimi ordynans.

W kuchni coś trzasnęło, zadzwieczało i po chwili na progu pokoju stanął Żymelka w postawie służbowej.

— Rozkaz, panie poruczniku!

— Żymelko, czyś ty widział kiedy człowieka, któryby miał zielone oczy?

— Zielone oczy? — zdumiał się ordynans. — Nie, panie poruczniku, ja nigdy nie widziałem człowieka, któryby miał zielone oczy.

— Hm, pewnie, gdzież ty takiego mogłeś zobaczyć...

— Tak jest, panie poruczniku, gdzie ja takiego mogłem widzieć.

— Cicho bądź.

— Rozkaz, panie poruczniku!

— Żymelka!

— Słucham, panie poruczniku.

— A czy ty widziałeś wśród zwierząt — na przykład konia o zielonych oczach?

— Konia to ja widziałem, panie poruczniku, u stryjecznego brata mojej wujecznej siostry, ale ten koń miał jedno oko zielone, niby trawa w maju, a drugiej jakby bielmem powleczone.

— I widział na oba oczy?

— Jeszcze jak widział, panie poruczniku! A co ta za zmysłna i przebiegła była bestia!

Stadnicki roześmiał się na całe gardło.

— Dajcie katu, mój Żymelko — rzekł następnie. — Dawaj buty do walizy, bo czas do pociągu.

— Rozkaz, panie poruczniku.

Zapakowawszy walizę, porucznik kazał ordynansowi przywołać taksówkę, którą zamierzał pojechać na dworzec, a kiedy ordynans odniósł walizę i wrócił na górę, Stadnicki wydał mu ostatni rozkaz na całe siedem dni:

— Żymelka — mówił — pamiętaj, ażebyś mi tutaj żadnej swojej ferainy nie sprowadzał i pod żadnym pozorem nikogo do mieszkania nie wpuszczał. Moich papierosów nie wypalaj, wina nie wysącz i zachowuj się w ogóle tak, jak na przyzwoitego żołnierza przystało.

— Rozkaz, panie poruczniku.

— No, więc bywaj zdrow i mieszkania należycie pilnuj.

— Rozkaz, panie poruczniku.

— No, masz tu piątkę na własne twoje balowanie, możesz poprosić o urlop na przepustkę u kapitana Olśnickiego i później możesz się zabawić, ale zaznaczam: tylko nie w moim mieszkaniu.

— Słucham, panie poruczniku i — bardzo dziękuję.

Stadnicki zszedł na dół i wsiadł do taksówki.

— Dworzec główny — rzekł i zapaliwszy papierosa zasunął się głębiej na siedzeniu.

Skręcając z Królewskiej na Marszałkowską, porucznikowi znowu mignęła postać człowieka o zielonych oczach, którego spotkał przed godziną na schodach swego domu. Obejrzał się za siebie, gdy nagle zgrzytnęły gwałtownie hamulce i rozległ się trzask łamanego żelaza. Gwizd policjanta rozdarł powietrze, wszczął się krzyk, przekleństwa i wymysły szoferów, w jednej chwili zbiegli się ludzie i otoczyli oba zderzone wozy dokoła.

Stadnicki, odrzucony gwałtownie do tyłu w chwili zderzenia, uderzył się mocno tyłem głowy o szybę, aż mu czapka spadła na oczy i jednocześnie doznał ostrego klucia w tyle czaszki. Szybko jednak przyszedł do siebie i usiłował otworzyć drzwi, aby wyjść z pogruchothanej i niezdatnej do dalszej jazdy taksówki. Wszelkie wysiłki na nic się nie zdały.

— Panie! — zawołał porucznik do szofera. — Uwolnij mnie pan ze swojego więzienia.

Szofer, oszołomiony i wściekły na kolegę, który go najechał, podbiegł do drzwiczek i z wielkim wysiłkiem wyłamał drzwi, uwalniając porucznika.

— Jakżeś pan jechał do licha, żeby zrobić tak wspaniały karambol i pogruchotać wóz prawie na drzazgi? — spytał Jerzy, przyglądając się szczątkom wozu swojego szofera.

— Ach, panie poruczniku, ja tu najmniej winien — tłumaczył się szofer.

— Jechałem przepisowo, prawą stroną, gdy ten cymbał — wskazał na swojego kolegę — najechał na mnie i ot, co zrobił.

Porucznik machnął ręką i zażądał wydania walizy, wtłoczonej gdzieś na przodzie w korpus motoru. Tymczasem zaś posterunkowy, który w tym miejscu pełnił służbę, zajął się sprawą prawną całego zajścia. Dla niego, jak zresztą i dla całego szeregu innych widzów, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że szofer jadący od strony dworca głównego najechał na taksówkę porucznika Stadnickiego. Do niego też zwrócił się z wyrzutami posterunkowy.

— Prawo jazdy jest?

— Proszę — podał książeczkę zalterowary i przygnębiony rozbił wóz szofera.

— Co? Od czternastu lat szofer i w dodatku mechanik i takiego karambolu pan narobił? Jak widzę, nie znasz pan najprymitywniejszych przepisów o prowadzeniu pojazdów mechanicznych.

— Przeciwnie, panie starszy — próbował usprawiedliwiać się szofer — znam je doskonale, czego dowodem jest, że za czternaście lat prowadzenia wozu nie byłem ani razu ukarany. Ale tym razem... tym razem sam diabeł tu chyba winien. Przecież doskonale pamiętam, że jechałem prawą stroną z przepisową szybkością, gdy nagle spojrzałem nieco w bok i zobaczyłem człowieka o błyszczących, zielonych oczach... Te oczy urzekły mnie chyba.

— Co mi pan tu będzie zalewał o jakichś zielonych oczach, kiedy cała katastrofa wydarzyła się na moich oczach i doskonale widziałem, że zamiast przystanąć, aby przepuścić tramwaj idący z Królewskiej na Marszałkowską, pan skręciłeś raptownie w lewo i najechałeś na ten wóz.

— Przysięgam, panie starszy, że to zielone oczy mnie urzekły.

— Boś pan pewnie wypił gdzie zielonej wódki, dlatego i w oczach ci zielono.

Publiczność zgromadzona dokoła zarechotała wesoło.

Porucznik Stadnicki, który już właśnie wsiadał do innej taksówki, przystanął na schodku wozu i słuchał uważnie. Dla niego jednak w całym tym gronie ludzi zainteresowanych bezpośrednio katastrofą i gapiów, opowiadanie szofera było prawdą. Wszyscy inni opowieść o człowieku z zielonymi oczyma wzięli za próbę wykręcenia się sianem.

Ale tymczasem nadjechało już pogotowie, zaalarmowane przez kogoś i zajęto się uprzątnięciem zatoru na jezdni. Porucznik nie czekał na zakończenie całego tego incydentu, w którym wziął tak bezpośredni udział, ale zatrzasnąwszy drzwiczki pojazdu, kazał śpiesznie jechać na dworzec.

Jednak przez cały czas swej jazdy ku dworcowi i następnie później w pociągu, nie schodził mu z myśli człowiek z zielonymi, fosforycznie błyszczącymi jak u tygrysa oczami. Oczywiście, porucznik wziął to za zwykły przypadek. Czyż mało oryginalnych typów ludzkich zdarza się na tym najpiękniejszym ze światów!

Pociąg mknął wśród pól i równin mazowieckich, oznajmiając się świstem syreny i syjąc chwilami snopy złotych łez z komina otwartego brzucha na nasyp kolejowy. Na jednej z mniejszych stacyjek, podczas wymijania drugiego pociągu, idącego w przeciwnym kierunku, Stadnicki stał w oknie, obserwując migające mu przed oczyma wagony. Był zamyślony w dalszym ciągu, bo wciąż mu się wydawało, że jednak ten człowiek z zielonymi oczyma musiał w wypadku tam na zbiegu ulic Marszałkowskiej i Królewskiej odegrać jakąś rolę. Bo przecież bez kczery ten cały wypadek nie był. Ale jakież był sens spowodowania całej tej katastrofy?

Porucznik zadumał się i dalej bezmyślnie wpatrywał się w przemykający przed nim długi pociąg towarowy, gdy nagle rozległ się głośny brzęk tłuczonego szkła i potężny drąg żelazny rozbił na drobne drzazgi szybę okna, w którym stał Stadnicki, wpadł do przedziału i wbił się na znacznej głębokości w obiciu coupe.

Jerzy momentalnie przysiadł i dzięki tylko nadzwyczaj bystrej orientacji uniknął śmiertelnego ciosu żelaznego drąga, który zawadził jeno o jego plecy i rozpruł mu na plecach ukośnie cały płaszcz. Stadnicki pociągnął za hamulec automatyczny i pociąg posunąwszy się jeszcze kilkadziesiąt metrów po szynach ze zgrzytem — przystanął. Wszczął się natychmiast ruch, bieganina, krzyki i nawoływania konduktorów i pasażerów, zaniepokojonych nagłym zatrzymaniem się pociągu w szczerym polu. Do przedziału wpadł kierownik pociągu z konduktorem.

— Czy to pan zatrzymał pociąg, panie poruczniku? — spytał wystraszony i zadyszany konduktor.

Stadnicki, głosem wzruszonym i drżącym, odrzekł:

— Tak, to ja... Proszę patrzeć, wskazał na rozbite okno i na drąg tkwiący nadal w obiciu coupe.

— Toż to zakrawa na zamach! — zawołał kierownik pociągu.

— Nie wiem na co to zakrawa — odrzekł porucznik już spokojniej, opanowawszy wzruszenie — ale jeśli miałbym wyrazić swoje zdanie, ten drąg świadczy o nie całkiem pewnym bezpieczeństwie na tej linii.

— Ależ panie poruczniku — próbował tłumaczyć się konduktor — na tej linii nie było od lat najmniejszego wypadku sabotażu czy czegoś podobnego.

— Chyba ten drąg, ta zbita szyba nie potwierdzają pańskiego mniemania. Ale mniejsza o to, nie będziemy dyskutowali na temat rzeczy nieistotnych. Proszę mi dać jakiś przedział, gdzie mógłbym spokojnie dojechać do Kutna, a tymczasem możemy jechać dalej.

Stadnicki zdjął walizkę z półki i poszedł za konduktorem do wskazanego mu przedziału. Nie był on pusty, jak poprzedni, bowiem na jednej z kanap leżał wyciągnięty i nakryty na głowę futrem jakiś pasażer. Porucznik ulokował się naprzeciwko i zaczął spokojnie rozważać cały co tylko przeżyty wypadek. Zaczął karambol taksówek zestawiać z ostatnim zamachem żelaznym łomem i wysnuwać daleko idące wnioski na ten temat. W końcu jednak doszedł do przekonania, że wszystko to było najzwyczajniejszym i najczystszej wody przypadkiem i niczym więcej. Po stwierdzeniu tego zakręcił się w płaszcz i legł na drugiej kanapie.

Tak dojechał do Kutna, gdzie musiał być przesiąść się do innego pociągu, który miał go dostawić już na miejsce, do Łodzi. Ale gdy wysiadł na stacji, dowiedział się tutaj, że pociąg łódzki ma nader duże opóźnienie, co wprawiło go w takie rozdrażnienie, że o-mal nie zwymyślał tragarza, który mu to przyszedł oznajmić. Opanował się jednak i rezygnacyjnie usiadł w poczekalni na krześle, zdając się na ślepy los: będzie, co ma być.

Tak dosiedział do godziny dwunastej w nocy. Gdy się ocieknął z drzemki i spojrzał na zegarek, zaklął szpetnie i poszedł do telegrafu, aby rozmówić się telefonicznie z Lilą.

Wściekłość go porwała za włosy, gdy się dowiedział, że Lila w ogóle żadnej depeszy nie wysyłała.

— Do diabła! — zaklął głucho. — Cóż to wszystko znaczy? Co to zaczyna się dokoła mnie dziać? Jakież tajemnice, zygzaki, esyfloreasy, diabli wiedzą co.

— Panoczku, pozwól, ja tobie powróżę, ja tobie powiem, gdzie szczęście twoje i gdzie nieszczęście — odezwał się tuż przy nim, gdy wychodził z telegrafu, czyjś głos. Porucznik spojrzał ciekawie na intruza i zobaczył małą, czarną jak mocna kawa cygankę, która stała przed nim i proponowała wróżbę.

— Paszoł won do ciężkiego licha ze swoją wróżbą! — warknął gniewnie Stadnicki i postąpił krok naprzód. Ale cyganka nie chciała śnać dać za wygraną.

— Panoczku, ty nie sierdziś, ty nie gniewaj się na cyganku — rzekła znowu prosząc — cyganka biedna, no ona tobie powie, gdzie szczęście twoje, gdzie nieszczęście, jakich masz wrogów, a jakich przyjaciół.

Porucznik zatrzymał się nagle i rozejrzał dokoła. Była noc, peron pusty, nigdzie dokoła żywej duszy. Zwrócił się naraz do cyganki:

— Potrafisz ty wróżyć? — spytał.

— Potrafię, panoczku.

— Czy mogłabyś mi powiedzieć, ale tak szczerze i prawdziwie, kto jest moim wrogiem i dlaczego ten wróg usiłuje mnie prześladować?

— Powiem, panoczku, ja wszystko powiem, co karta pokaże.

— Dobrze, — zdecydował się naraz Jurek. — Masz tu dwa złote na zadatek i kładź karty. Jeśli dobrze powróżysz, jeśli prawdę powiesz, dostaniesz drugie dwa złote, a jeśli nie — do policji cię oddam za obman. Rozumiesz?

— Rozumiem, panoczku, rozumiem.

— No, więc uważaj.

Cyganka weszła napowrót do poczekalni dworcowej, w tej chwili puste i zaczęła rozkładać karty na stole. Stadnicki stał obok i wpatrywał się w karty, jakby sam z nich chciał cokolwiek wyczytać.

— Tylko nie lżyj — napomniał raz jeszcze cygankę.

Cyganka nie zwróciła jednak na to uwagi, ale zapatrzona w karty, mruzczała coś pod nosem, po czym zaczęła mówić głosem nieco śpiewnym, ale twardym, dobitnym.

— Wam droga, panoczku, droga do kochanej, ale wy z niej nieszczęście wywieziecie... Czeka was zło, czeka was nieszczęście i dola ciężka i droga daleka, bardzo daleka... Wam na zdradzie zły człowiek stoi; on z daleka tu przybył, bardzo z daleka. Wystrzegajcie się, panoczku człowieka, co ma oczy jak zwierz, złe oczy ma ten człowiek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Sułtan, który chciał przewyższyć Ludwika XIV Tyran arabski z XVII stulecia.

Miasto Meknes, po Fezie, Rabacie, Kasablance, należy do największych i najciekawszych miast w Maroku. W mieście tym, które kiedyś było stolicą Maroka, mieści się lenia rezydencja sułtanów marokańskich. Miasto położone jest w dorzeczu Sebu, w dolinie słynącej z oliwek i stanowi jeden z największych ośrodków handlowych Maroka.

Mieszkańcy miasta obcując więcej z Europejczykami niż Arabowie innych miast, przyswoili sobie szybko zdobycze kultury europejskiej.

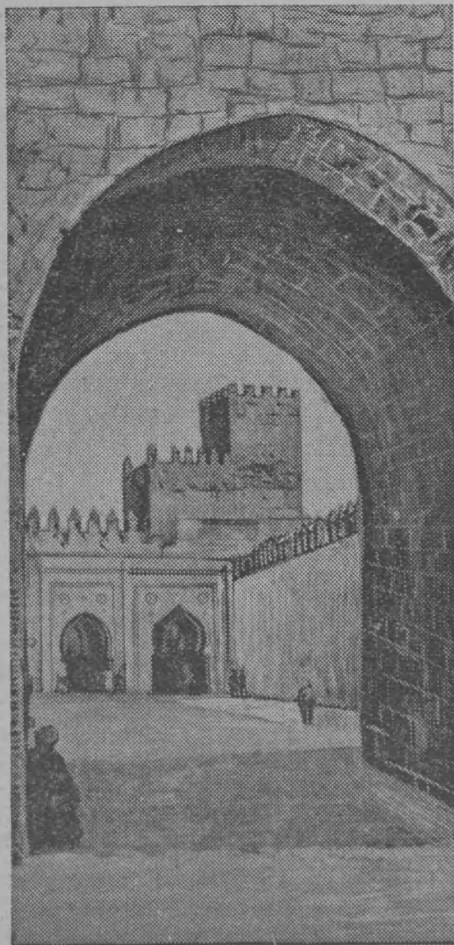
Osobliwością tego pulsującego życia miasta jest pałac dawnych sułtanów. Pałac ten, który swego czasu miał pretensje do nazwy „Wersalu Marokańskiego”, otoczony jest wysokimi murami. Na pierwszy rzut oka budowla ta przygnębia turystę swą potęgą. Szesć grubych murów otacza bowiem pałac sultański.

W rzeczywistości potężne te mury, z wojskowego punktu widzenia, nie mają żadnej wartości. Arabowie, którzy przyznać trzeba, wnieśli wiele do postępu cywilizacji, nie znali nigdy sztuki budowania twierdz, mimo, że byli i są zawsze wojownikami pierwszorzędnymi.

Zamek sułtanów w Meknes, powstał prawie jednocześnie z Wersalem. Podczas gdy we Francji rządził wielki król Ludwik XIV, w Maroku w tym samym czasie panował sułtan Mouley Ismail. Panował on nieomal równie długo jak Ludwik XIV. Sułtan Muley, obok przykliki jaką się odznaczał, był jednocześnie tyranem szczególnie dla swego otoczenia.

Chorobą jego zaś, była chęć konkurowania z Ludwikiem XIV, potężnym wówczas królem Francji. — Chciał on przewyższyć w zbytkowym urządzeniu swego pałacu wszystko co było w Wersalu. Dwór sułtana był bardzo liczny. W haremach miał przeszło 500 żon, czarna jego gwardia składała się z 20.000 wojowników. Pałac sultański, urządzonej z wielkim przepychem, posiadał liczne sale, potężne podziemia, schody marmurowe, kolumnady. Dziś wszystko to leży w ruinach, na których porasta trawa.

Działalność sułtana nie ograniczała się jednak do naśladowania Ludwika XIV tylko w przepychu. Sułtan Muley zaprowadził porządek w swym królestwie, zniósł anarchię, jaką wprowadzali szefowie poszczególnych plemion. Podbił południowe okęgi marokańskie Fez Sus, podbił



Pałac sultański w Fezie.

Tafilalet, wyrzucił Hiszpanów z Larache i odebrał Anglikom Tanger.

Za jego panowania ludność cieszyła się nawet pewnego rodzaju dobrobytem.

Ks. Busnot Dominique, wysłannik króla Francji tak oto opisuje sułtana Muleya: „wzrost średni, twarz podłużna i szczupła, cera nieomal czarna, okolona białą brodą, oczy pełne ognia, grzmiący głos”.

Obok tych przedmiotów wioda i kierownika państwa, sułtan Muley był straszliwym tyranem. Przez 55 lat panowania dokonał osobiście licznych zbrodni, pomijając zbrodnie dokonane z jego rozkazu. Pewnego dnia, jak mówi historia, nakazał udusić jedną ze swych żon za to, że zerwała pomarańczę w ogrodzie sultańskim. Innym razem przebił sztyletem swą faworytę ponieważ wysypała trochę mąki na chodnik, który miał przechodzić. Muley za każdym razem żałował swych porywczych czynów. Po zabiciu faworyty wezwał chirurga nadwornego i zagroził mu śmiercią, jeśli nie przywróci życia faworycie. Niestety, cios wymierzony przez sułtana był śmiertelny. Chirurg nic nie mógł zdziałać. Sułtan kazał udusić go za to.

Drugą wielką wadą Muleya była pycha i zbyt wielkie wyobrażenie o sobie. Sułtan uważał się za równego wszystkim królom swoich czasów. Szczególnie pochlebiał sobie, że jest równym Ludwikowi XIV, królowi Francji. Pychę swoją posunął tak daleko, że zażądał od króla Francji ręki księżniczki de Conti. Zrozumiał on dopiero wtedy swój błąd, gdy otrzymał upokarzającą i ironiczną odpowiedź odmowną.

## Ludzie chudzi są mędrsi od tłuściochów?

Pewien lekarz amerykański napisał pracę w której dowodzi, że cała ludzkość rozpadła się na dwa typy: chudych i tłustych, mimo to, że na oko większość ludzi jest tak zwanej „średniej tuszy”.

Ten podział na kategorie jest u owego lekarza głębszej natury. Owa tusza jest w jego rozumieniu czymś całkiem niezależnym od odżywiania się, czy trybu życia. Człowiek z natury tłusty będzie nim

nawet gdyby się głodził.

Tak samo człowiek z natury chudy nawet po „wytuczeniu się” nie zmieni swej natury. Usposobienie, upodobania, a nawet umysł chudego są całkiem różne od tych właściwości u tłustego. Jako dwa przykłady różnych konstytucyj podaje ów lekarz amerykański

przykład Don Kiszota i Sancho Pansy.

Don Kiszot, idealista, niespokojny duch, łatwo wpadający w gniew i melancholię, fantasta, walczący z wiatrakami.

Sancho Pansa serdeczny, poczciwy, łatwy w obcowaniu z ludźmi, gotów do uszczęśliwienia całego świata.

Jako przykład typowej kobiety tłustej (o usposobieniu tłuściochów) przytacza lekarz już nie wytwór fantazji literata, ale istotnie realną kobietę, matkę Goethego. Jako jej charakterystykę przytacza wyjątek z jej listu:

„Jestem szczęśliwa poprostu z tego, że żyję.

Znajduję zadowolenie w każdym drobniaku. Codzień zdarza się coś, co mnie na nowo zachwyca. Moje serce jest pełne radości, a moje

## Którą ręką kraje pan chleb? Czy mańkuci żyją dłużej? — Geniusze między leworęczkami.

Kiedy spotykają się dwaj mańkuci — urządzają sobie wielkie święto, jak gdyby spotkali się w Ameryce dwaj mieszkańcy środkowej Syberii. „Ach, a więc pan też kraje chleb lewą ręką?” „Ach, a więc pani również nawleka igłę lewą ręką?” Mimo tej radości powinni się mańkuci witać raczej z leżką smutku w oku. Nie dawno ogłoszono w Ameryce statystykę, z której wynika, że mańkuci łatwiej ulegają wypadkom.

W jaki sposób powstaje właściwie mańkuctwo?

Czy jest ono zależne od wychowania? Czy może przedmioty i narzędzia nas otaczające są tak zbudowane, że zmuszają nas do używania głównie prawej ręki? Może istnieją głębsze jeszcze przyczyny?

Otóż tak! Istnieją głębsze przyczyny. Człowiek mianowicie nie jest zbudowany symetrycznie. Serce leży po lewej stronie. A więc już wskutek tego, anatomia klatki piersiowej, system nerwów i żył jest zupełnie inny w lewej, niż w prawej części piersi. Mózg również nie jest symetrycznie uformowany. Najlepszym dowodem jest centrum mowy. Leży ono w lewej części mózgu. Kiedy nastąpi tam uraz — człowiek doznaje zaburzeń w mówieniu.

Wiadomym jest, że prawa część mózgu dyryguje lewą częścią ciała ludzkiego i naodwrot. A więc ludzie którzy posługują się przeważnie prawą ręką mają lepiej rozwiniętą lewą część mózgu. Mańkuci mają widocznie centra ruchowe w mózgu, położone po prawej stronie.

Czy mańkuci wyróżniają się jakoś specjalnie wśród posługujących się prawą ręką? Owszem, tak. Jest wśród mańkutów więcej zezowatych, jakałów, idiotów. Mówiono również, że stanowią oni dosyć wysoki odsetek wśród przestępców. Statystyka ta jednak jest niedokładna i fałszywa. Pewnym jest tylko, że wszyscy męscy mańkuci sprawiają wrażenie zniewieściałych. Nie o-

spojrzenie pogodne”.

Ci, których lekarz zalicza do kategorii tłustych, są właśnie radosnego, optymistycznego usposobienia. W przeciwieństwie do nich ludzie chudzi są skłonni do melanlii. Tacy byli Kalwin, Wolter i wielu innych tego świata,

którym samo życie sprawiało nieustanny ból.

Autor teorii twierdzi, że Szekspir już ją przeczuł swym geniuszem, bo w taki właśnie sposób charakteryzuje swych bohaterów. Jego Juliusz Cezar powiada, że chciałby wokół siebie mieć ludzi,

„którzy są tłuści i dobrze spijają po nocach”,

a zdrajca Kasjusz posiada „wygląd chudego, zagłodzonego człowieka”. Falstaff zaś posiada tyle dobrodusznego humoru, co tłuszczy.

Lekarz usiłuje to nawet wytłumaczyć względami fizycznymi. Chude osoby cierpią o wiele częściej na zaburzenia w trawieniu, niż tęgic, a wiadomo, że nie tak nie działa na zły humor, jak złe trawienie.

Lekarz ten w dalszym ciągu dowodzi, że dobre trawienie wpływa na gruczoły wydzielania wewnętrznego, od których przecież, jak dowiodła nauka, zależą w pierwszym rzędzie czynności naszego umysłu i nasz humor.

Typ Don Kiszota jest nietylko zagłodzony, gdyż mało jada, ale nadto zatruty, gdyż to, co jada nie przemienia się w soki odżywiające jego organizm.

Mimo to wszystko, lekarze przyznają większą sprawność umysłową ludziom chudym, choć lepszy humor mają grubasy.

bjawia się to koniecznie w cechach cielesnych, ale raczej w charakterze. Ludzie ci mają skłonność do życia w odosobnieniu, są asorjalni, ale... trafiają się wśród nich ge-



Autoportret Leonarda de Vinci.

nusze jak np. Leonardo da Vinci. Słynny malarz niemiecki Menzen był również mańkutem. Z właściwością tą usiłował wielki malarz walczyć przez całe życie, ale bezskutecznie.

Czy należy przewyższyć mańkuctwo? Nie. Zupełnie tak, jak nie można normalnemu człowiekowi zabronić posługiwania się prawą ręką. Niestety mało uwagi poświęca się tym zjawiskom w wychowaniu.

Widzimy czasami i inteligentnych rodziców, którzy aż do wieku szkolnego nie zauważyli u swego dziecka mańkuctwa. Mańkuci mogą nauczyć się pisać i jeść prawą ręką. Mimo to będą w chwilach braku kontroli po wszystko sięgali lewą ręką. Co gorzej, mańkut sztucznie wprawiany do pisania prawą ręką, bazarze niemiłosiernie. Czasami mańkuctwo może stać się powodem poważnego wypadku. Dźwignie przy maszynach i motorach są urządzone tak, że musi się je obsługiwać prawą ręką. Prawa ręka mańkuta jest niepewną. O wypadek nie trudno!

Rozumiemy więc, że amerykańska statystyka podaje wyniki, zgodne z naszymi obserwacjami. Czy prawdą jest, że mańkuci żyją dłużej? Co za przyczyny mogą na to wpływać? U mańkutów od urodzenia jest lepiej rozwinięta lewa część ciała a więc i serce. Jest ono silniejsze i lepiej unerwione, aniżeli u „praworęcznych”. Nie jest więc wykluczone, że ta okoliczność decyduje o lepszej sytuacji mańkutów w statystyce śmiertelności. Co prawda statystykom dotychczas publikowanym i odnoszącym się do tej kwestii nie należy dawać zbytnej wiary. Obejmują one ciągle jeszcze za szczupły materiał, aby móc wyciągnąć jakiś ogólniejszy wniosek.

Są nawet pewne względy teoretyczne, przemawiające za tym, że mańkuci powinni żyć krócej. Wydaje się niektórym anatomom i fizjologom, że ciało ludzkie uprzywilejowało dla tego prawą ręką, aby chronić lewą część organizmu. Prawa strona jest stroną czynu, jest stroną nazwaną skierowaną aktywności; lewa strona, strona serca charakteryzuje się pewną biernością. To zwykły przypadek, że pełne aktywności ludy Europy piszą z lewej strony ku prawej, a więc w kierunku od serca, od bierności ku czynowi. Refleksyjne zaś ludy Wschodu z natury swej bardziej biernie, piszą od prawej strony ku lewej, ku sercu.

Ostateczne rozstrzygnięcie tych problemów może przynieść tylko wytrwałe studium i sumienna statystyka.

Z najnowszych odkryć i wynalazków.

## Latający dziennikarz.

**Dzięki udoskonalonemu samolotowi, redaktorzy mogą przekazywać swe reportaże dziennikarskie wprost do drukarni gazety.**

Wraz ze stałym postępowaniem cywilizacyjnym ludzkości i z coraz to większymi udoskonaleniami technicznymi postępuje naprzód w doskonaleniu się ciągłym i prasa, będąca wyrazem opinii publicznej i odzwierciedleniem współczesnego życia społeczeństw.

Niedaleki już czas, kiedy rzadkie będą wielkie dzienniki światowe, nie posiadające do swego rozporządzenia samolotu i pilota, gotowego w każdej chwili do zabrania redaktora w regiony powietrzne, gdy wydarzy się jakichś niezwykle wypadku, który wymagać będzie niezwłocznego poinformowania czytelników i to z miejsca zdarzenia w sposób ścisły.

Pole obserwacji dziennikarskiej rozszerzy się znacznie i taki „latający dziennikarz” będzie mógł informować swych czytelników bezpośrednio, jako świadek zajścia, który poczynił spostrzeżenia i notatki na miejscu. Dokonawszy tego poda, podzieli się niezwłocznie ze swą gazetą zdobytymi wiadomościami za pomocą telefonu, telegrafu, drogą radiową i t. p.

W Ameryce technika prasowa poszła jednak dalej. Wprawdzie użycie samolotu do użytku prasowego, jako pomysł co do pierwszeństwa, należy do Europy, jednak praktyczni Amerykanie pomysł ten wyzyskali na swój sposób.

**Redakcja w przestrzeni powietrznej.**

Pewien dziennik, wychodzący w Detroit, w stanie Michigan p. n. „Detroit News” stworzył do swego użytku odpowiednio skompletowaną „redakcję powietrzną”, urządzającą na specjalnie zbudowanym samolocie.

Główna kabina tego samolotu posiada, między innymi, niezbędne urządzenia do przeprowadzania zdjęć fotograficznych z góry z samolotu, mając do tego celu trzy specjalne soczewki, działające jednocześnie z trzech stron samolotu i mogące w ten sposób objąć za jednym razem całą przestrzeń, którą chce się sfotografować z jednego rzutu oka.

Te aparaty fotograficzne funkcjonują automatycznie w ten sposób, że zdjęć dokonuje się od skrzydeł samolotu począwszy aż do ogona samolotu, przy czym można wykonać 110 zdjęć, bez potrzeby wkładania nowych klisz.

**Trzech redaktorów i jedna stacja radio-nadawcza.**

W samolocie tym znajdują się trzech redaktorzy ze swym odpowiednio urządzonym biurkiem i radiowym aparatem nadawczym, przez który głośno nadają swe dziennikarskie reportaże. Ów aparat nadawczy jest zarazem radio-odbiornikiem, posiadającym słuchawki, które pozwalają reporterom dziennikarskim porozumieć się z szefem redakcji gazety, dyrektorem wydawnictwa, lub wprost z kierownikiem drukarni, aby wiadomości otrzymane w samolocie mogły być od razu jak najspieszniej wydrukowane.

W ten sposób „latający redaktorzy” mogą obserwować z góry szczegóły np. walk podczas wojny, przebieg zawodów sportowych, sceny rozgrywane się na tonącym na morzu statku, lub brać nawet udział w pościgu za bandą złoczyńców, uciekających autem i odpowiednio i niezwłocznie informować o tym swych czytelników, czyniąc to niemal automatycznie.

Wystarczy, że jeden z redaktorów dziennika „Detroit News” wsiądzie na samolot „Early Bird”, bo tak się nazywa ów aeroplan z „latającą redakcją”, że wzleci nad terenem, na którym rozgrywa się dane wydarzenie, czy zajście, aby móc je niezwłocznie sfotografować i podyktować opis zajścia stenografistce z odległości kilku tysięcy kilometrów.

Odpada w tym wypadku wszelkie

zbędne pośrednictwo, jak telefon, telegraf i t. p. Gdy telewizja będzie udoskonalona, będzie można ludzkiem, najspokojniej siedzącym w swych fotelach domowych, przekazywać z wysokości owej „latającej redakcji” całe audycje kompletne z zajęć i wydarzeń i to w chwili ich rozgrywania się właśnie.

Ta „równoczesność”, wydająca się marzeniem lub fantazją pisarską jeszcze jakieś trzydzieści lat temu, stała się więc dziś zupełnie realną rzeczywistością, gdyż istotnie z kabiny obserwatora samolotu „Early Bird” można nie tylko przyglądać się rozgrywającym scenom wydarzeń, ale można te wydarzenia sfotografować i komunikować o nich dokładne sprawozdania dziennikowi, który w tej samej chwili niemal ukaże się na ulicach miasta.

Ta błyskawiczność w sposobie nowoczesnego informowania jest ostatnią zdobyczą udoskonalonej techniki dziennikarskiej Amerykan, pozwalającej nam na daleko idącą zmianę pojęć o czasie i przestrzeni, w których rozgrywają się współczesne nam wydarzenia i na coraz to większy rozwój charakterystycznego dla naszych czasów „zmysłu wszędobylstwa”.

W najbliższej przyszłości straci również swe dotychczasowe ściśle realne znaczenie i pojęcie odległości, która przestanie być przeszkodą na drodze współzycia daleko nawet od siebie zamieszkujących narodów. (jot-es).

## Czy pszczoła będzie mogła zastąpić gołębia pocztowego?

Bardzo dawno, tak nam się zdaje, było to bowiem przed „tamtą” wojną, zaczytywaliśmy się w opisach przygód Buffalo-Billa, jego walk z Indianinami. Zachwycaliśmy się różnymi i bardzo zmyślnymi sztuczkami, którymi posługiwali się szlachetni Siuxowie w walce z „złodziejami koni”, za których uważali oni członków plemienia Apaszów.

„Blade twarze”, jak o nas mówili ci pierwotni mieszkańcy obydwóch Ameryk, również mają w zapasie tysiące sztuczek wojennych.

Trzeba grubych tomów, ażeby spisać wszystkie sztuczki, jakimi posługują się armie nowoczesne w celu zapewnienia sobie szybkiej i możliwie tajnej łączności. Istnieje tysiące najrozmaitszych sztuczek, by poznać zamiary wroga i unieszkodliwić je, zanim on zamiary te rozpocznie wprowadzać w czyn. Najwięksi wodzowie dlatego byli wielkimi, że dokładnie znali stan rzeczy przed każdą bitwą. Znali nietylko armię własną, ale i nieprzyjacielską. Na podstawie tych danych opracowywali plany bitew, które doprowadzali zwycięsko do końca. Dlatego też służba informacyjna i łączność mają bardzo doniosłe znaczenie w wojnie nowoczesnej. Wśród tysięcy najrozmaitszych sztuczek w prznoszeniu wiadomości Amerykanie (oczywiście) podają nam jeden z najnowszych sposobów prznoszenia wiadomości. Oto twierdzą oni, że gołębia pocztowego może zastąpić z powodzeniem pszczoła...

Gołąb pocztowy, ten najstarszy i szybki listonosz, jakiego zna ludzkość, jest tropiony bardzo energicznie przez nieprzyjaciela. Tymczasem pszczoła, niezauważona przez niko-

go, może przenieść cenne wiadomości dla dowództwa!

Czytelnicy po przeczytaniu tej wiadomości uśmiechną się. I słusznie! Niemożliwością jest bowiem umieszczenie na ciele pszczoły jakiegokolwiek listu, czy przesyłki. — Pszczoła jest zbyt delikatna.

Ale Amerykanie nie mówią o przyczepieniu czegokolwiek pszczole. Mówią o możliwości sfotografowania na skrzydłach tego pożytecznego stworzonka, wiadomości, przeznaczonej dla adresata.

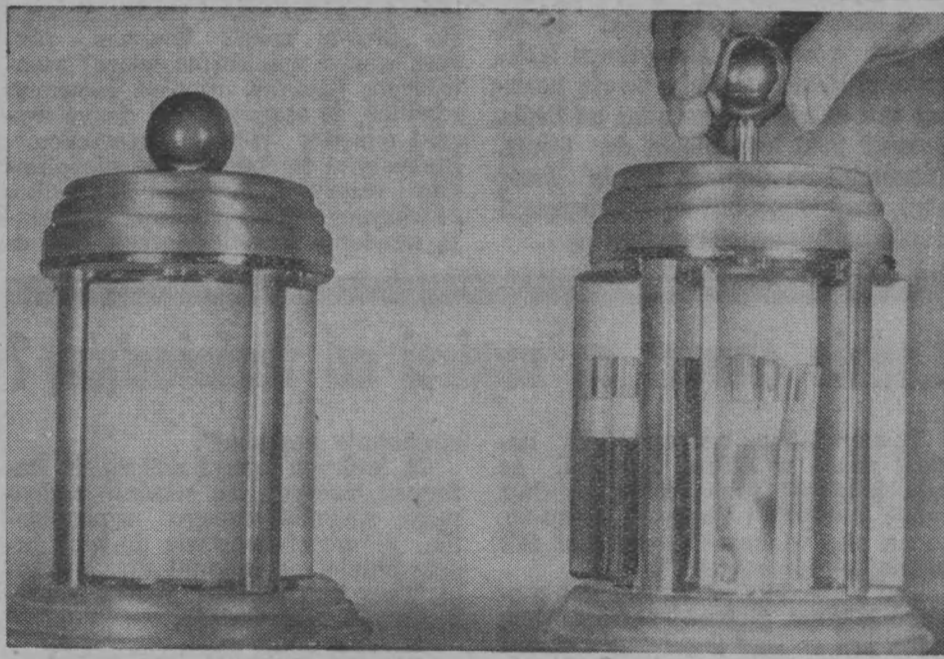
Dowiedzionym jest faktem, że pszczoła ma jeszcze silniej rozwinięty zmysł orientacyjny aniżeli gołąb. Poza tym pszczoła jest bardzo przywiązana do swego ula. Oczywiście po powrocie do ula z depeszą na skrzydełkach, pszczoła bezlitośnie jest poddawana operacji, nazywanej fachowo przez fotografów „wywołaniem kliszy”.

Najpoważniejsze pismo wojskowe Stanów Zjednoczonych twierdzi, że doświadczenia z pszczolami dały pomysłyne rezultaty.

Prawdziwością tego nowego sposobu przesyłania depesz nikt z nas nie będzie mógł stwierdzić. Pozostaje nam tylko wierzyć lub nie wierzyć, co mówią o tym „rzeczoznawcy”.

Uwierzyć zaś jest dość trudno. Nie wydaje się bowiem, by wynaleziono dość lekki roztwór, który rozpostarty na delikatnych skrzydełkach pszczoły nie przeszkadzał jej w lataniu. Pozostaje także do wyjaśnienia czy światło nie zniszczy kliszy na skrzydełkach pszczoły. — Przecież klisza fotograficzna nie znosi światła. Tu prawdopodobnie dotykamy tajemnic, których „rzeczoznawcy” amerykańscy nie chcą wyjawiać.

W każdym razie powyższą wiadomość trzeba przyjąć z wielką ostrożnością. Chociaż kto wie?...



**Idealna szafka do papierosów.**

Szafka ta, to także jeden z ostatnich wynalazków. Zamyka się ona szczelnie, chroniąc papierosy od powietrza i kurzu. Przez podniesienie i przekręcenie kulki szafka otwiera się i papierosy z łatwością można wyjąć. — Na zdjęciu z lewej widzimy zamkniętą szafkę; z prawej widać, jak po przekręceniu kulki, ukazują się papierosy.

## Niezwykły ptak

(Humoreska)

Profesor Chrabowski, znakomity ornitolog (badacz ptaków), cieszył się sławą nie tylko w kraju ale także za granicą. Krewni dumni byli, że mogą zaliczać wielkiego uczonego do grona swych najbliższych, więc też pewnego razu Zenon Wierzbicki, młody dziedzic Złotej Wólki a siostrzeniec pana Chrabowskiego, chcąc popisać się przed sąsiadami posiadaniem tak dostojnego wujaszka, jał go zapraszać jaknajserdeczniej do swego majątku na przeciąg letnich wakacji.

Profesor, zmęczony wykładami i pracą naukową, chętnie skorzystał z gościnności młodego krewniaka. Gospodyni zapakowała wszystkie manatki, potrzebne do podróży, wyequipowała swego pana jak się patrzy, wiedziała bowiem z doświadczenia, że z uczonym to trzeba jak z dzieckiem, bo sam niczego nie dopilnuje, zajęty tylko swymi myślami.

Znakomity gość wypoczywał w Złotej Woli doskonale. Spędziwszy

większość życia w bibliotekach lub pracowniach nad preparatami, oddychał teraz z lubością pełną piersią świeżym, czystym powietrzem pięknej, polskiej wsi. Pokój w którym zamieszkał profesor, miał widok na ogród, gdzie gnieździły się setkami ptaki. To też nasz ornitolog, rad z możliwości obserwowania bezpośredniego skrzydlatej zgrai, nieraz długie godziny spędzał już to przy oknie, już to na ławeczce pod lipą, wsłuchując się w przeróżne świergoty i trele.

Pewnego dnia, gdy z rannym brząskiem otworzył oczy, przebudzony z głębokiego snu, uderzył jego słuch jakiś dziwny głos — ni to pisk, ni gwizd, brzmiało to jak przeciągłe uuu-iii-uuu-iii... ani chybi, nieznanymi jakis ptak.

Profesor uczuł, że jest na drodze do nowego odkrycia, bodaj że epokowego. Wsławi swe imię we wszystkich uczelniach świata, wzbogacając ornitologię o nową, arcyciekawą zdo-

byczą. Zelektryzowany wyskoczył z łóżka i pobiegł do okna, ale nie zdołał niestety wypatrzeć niezwyklego śpiewaka. Widocznie pofrunął dalej. Lecz profesor wytrpił go jeszcze, nie ujdzie mu ten okaz. Musi się z pewnością gnieździć gdzieś w pobliżu. Przy śniadaniu zapytał swego siostrzeńca, czy nie może mu dostarczyć szczegółów o dziwnym ptaku. Ale pan Zenon tylko oczy wytrzeszczył i głową pokręcił z ubolewaniem. Profesor postanowił poszukiwać na własną rękę.

Nazajutrz znów go obudził intrygujący głos i znów za późno zerwał się z pościeli, bo tajemniczego ptaka nie dojrzał. Było to widocznie nowa jakaś odmiana, która tylko wczesnym rankiem na krótką chwilę śpiewała a potem milkła do następnego rana. Profesor przez dzień nigdy oryginalnego śpiewu nie słyszał, choć wciąż czujnie uważał i nadsłuchiwał. Zainteresowany do najwyższego stopnia kazał się na trzeci dzień rano obudzić przed wschodem słońca, by w spokoju móc dokonać naukowej obserwacji.

W szarym półświatle siedział więc nasz profesor w oknie, otulony w flanelowy szlafrok, bo ranek był chłodny i czekał cierpliwie na ukazanie się niezwyklego ptaka. Już — już — w oddali słychać przejmujące uuu-iii-uuu-iii. Profesor wychyla się z okna, uzbrojony w podwójne szkła. Głos zbliża się, jest tuż, tuż — a ptaka nie widać. Rozgorączkowany ornitolog szuka go w powietrzu, na drzewach, na krzewach — wreszcie opuszcza wzrok w dół... i wówczas spostrzeżenie zagadki, ale jakże druzgocące dla swych śmiałych nadziei. Bo oto poprostu szedł ogrodniczek, popychając przed sobą beczkę z wodą do polewania ogrodu, na dwóch kółkach, których osie widać mocno zardzewiałe i oddawna nie oliwione rozpaczliwie skrzypiały. Ten to melodyjny kwik i skrzyp zmylił naszego uczonego, odwykłego od wsłuchiwania się w odgłosy rzeczywistego życia i przez trzy dni utrzymywał go w złudzeniu, że zdoła odkryć na polskiej wsi nowy gatunek nieznanego ptaka.

W sobotę po południu wyjeżdżałem zazwyczaj do małej miejscowości w hrabstwie Sussex, gdzie mieszkał mój przyjaciel. Graliśmy tam zazwyczaj w golfa. I tym razem zająłem miejsce w drugiej klasie pociągu. Podróż była nudna. Przeczytałem już gazetę, rozwiązałem krzyżówkę i wreszcie poczęłem obserwować współtowarzyszy podróży. Nie byli ciekawi. Mężczyzna, który siedział obok mnie nie przykuł mego wzroku na długo. Zainteresowała mnie jednak młoda kobieta, która siedziała naprzeciw. Określiłem ją w myślach jako „podróżną w zielonym płaszczu”. Nosila bowiem zielony impregnowany płaszcz i zieloną czapkę tak szczelną, iż nie widziałem koloru jej włosów. Twarz miała niezwykle ładną. Jestem człowiekiem już niemłodym i nie zachwycam się kobietami o golonych brwiach i malowanych wargach. Podróżna w zielonym płaszczu w jednym i drugim wypadku holdowała modzie. Zauważyłem jednak, że jej brzośkinio policzki nie mają różu. Cerę miała alabastrową, a oczy... Oczy niewypowiedzianie piękne. Zastanowił mnie wyraz jej twarzy. Wyglądała tak, jak gdyby się uśmiechała, albo miała za chwilę wybuchnąć płaczem.

#### Sąsiedzi z przedziału.

Mężczyzna, który siedział obok mnie, był niesympatyczny. Miał rude włosy i zaciśnięte wargi. Przyglądał się badawczo mojej sąsiadce. Nie dziwiłem się temu. Taka piękna kobieta musiała zwracać uwagę mężczyzn. Ale ona zachowywała się jak prawdziwa dama.

Mój sąsiad nie patrzył na nią jak patrzy na kobietę mężczyzna, który ma zamiar nawiązać flirt. Nie. Patrzył na nią raczej jak na swoją ofiarę. Tak, jak patrzy pajak na muchę. Jej twarz przypominała mi kogoś. Nie mogłem jednak uprzytomnić sobie, czy ją znam. W swoim życiu widziałem już przecież tylu ludzi...

Gdy pociąg zatrzymał się w Dorking, podróżna w zielonym płaszczu wstała i zdjęła z siatki zieloną parasolkę i zieloną torebkę.

Gdy zbliżyła się w kierunku drzwi wyjściowych, otworzyłem je. Powiedziała wówczas: „Bardzo panu dziękuję...” i uśmiechnęła się. Miała precyzyjne zęby i melodyjny głos. Zaledwie sylwetka jej zniknęła na stopniach wagonu, mój niesympatyczny sąsiad, który nie zdradzał do tąd zamiaru opuszczenia pociągu, wstał i szybko wyskoczył. Pociąg stoi na stacji w Dorking bardzo krótko. Nim się zdecydowałem, co uczynić — pociąg ruszył. Wyjrzałem przez okno. Podróżna w zielonym płaszczu zniknęła w drzwiach budynku stacyjnego. Mój ryży sąsiad szedł w tym samym kierunku. Zauważyłem wówczas, iż nosi on obuwie z wysokimi cholewami.

Pociąg mijał zabudowania stacyjne. Wstałem zatem, aby wyjrzeć jeszcze przez okno. W tej samej chwili usłyszałem brzęk. Coś wypadło mi z kieszeni, względnie zsunęło się z kolan. Schyliłem się. Na podłodze wagonu leżał klucz. Zwykły, mały klucz, jaki powszechnie używa się do zamków „Yale” przy zatraskach. Do klucza przymocowana była mała tabliczka, emaliowana na zielono. Wiadnia na niej napis: Morris, Craddock 43, S. W. 3”. Znałem tę ulicę. Leżała w dzielnicy Chelsea. Nie ulegało wątpliwości, że klucz stanowił własność podróżnej w zielonym płaszczu. Było dla mnie rzeczą niewątpliwą, że klucz rzucony był tak, a bym ja go znalazł. Kim był jednak jej prześladowca?

#### Tajemniczy klucz.

W poniedziałek znalazłem się już z powrotem w Londynie. Klucz z zieloną tabliczką spoczywał w mojej kieszeni. Jego obecność burzyła mój spokój. Przez dwa dni zastanawiałem się nad tym, co począć. Czy oddać klucz do Scotland Yardu, do oddziału znalezionych rzeczy, czy też... A może była to taka forma zaproszenia?... Jestem już starym człowiekiem i moi przyjaciele wiedzą, że przestałem się interesować kobietami. Prowadzę samotny tryb życia i nie szukam przygód od czasu powro-

# Pani w zielonym płaszczu

## Zagadkowy dramat w Londynie.

tu z wojny. Tam miałem ich aż za wiele.

Poniedziałkowy wieczór spędziłem w moim klubie. Noc minęła bezsenność. Rano postanowiłem udać się pod wskazany adres. W dzielnicy Chelsea znajdują się małe domki prywatnych posiadaczy. Byłem przekonany, że pod wymienionym adresem znajduje taki jednopiętrowy domek willowy, że otworzy mi pokojówka, a może sama pani w zielonym stroju.

Zdaleka już zauważyłem, iż dom sprawia wrażenie opuszczonego. — Wszystkie parterowe okna były zasłonięte żaluzjami, górne zaś zamknięte i zasłonięte od wewnątrz.

Nacisnąłem dzwonek u drzwi wejściowych. Czekalem dość długo ale nikt się nie zjawiał. Zadzwońm ponownie. Nikt się nie zjawiał. Nie ulegało wątpliwości, że dom jest pusty. Stałem jeszcze przed drzwiami, rozmyślając, co uczynić z kluczem, gdy nadszedł policjant, mający obchód w tej dzielnicy.

— Lokatorzy, państwo Morris, wyjechali — odezwał się policjant. — Dom jest od trzech tygodni niezamieszkały.

— Dziękuję, panie wachmistrzu, odpowiedziałem. — Znalazłem wczoraj klucz. — Pokazałem mu tabliczkę. — Chciałem go zatem zwrócić pod wskazanym adresem. Jeżeli jednak w domu nikogo nie ma, to oddam klucz w Scotland Yardzie.

Policjant spróbował otworzyć. — Drzwi otworzyły się bez szelestu. W małym hallu było zupełnie ciemno, zaś w domu panowała głucha cisza.

— Właściwie powinienem obejrzeć mieszkanie, skoro jest otwarte — odezwał się policjant. — To należy do moich obowiązków. Kim pan jest właściwie? — zwrócił się do mnie Pokazałem mu moją legitymację. Przeczytał ją, stanął na baczność i zasalutował. — Dziękuję, panie majorze, — odezwał się.

#### Pusty dom.

Policjant sięgnął do kontaktu elektrycznego, ale światło nie zabłysło.

— Powinienem się był tego spodziewać skoro dom jest pusty, — mruknął do siebie policjant. — Powiem panu, dla czego zainteresował mnie ten dom. Przed trzema dniami, gdy obejmowałem służbę, zauważyłem w oknie pokoju na pierwszym piętrze światło. Byłem zdumiony, wiedząc, że dom stoi pustką, ponieważ jednak mój kolega, który zdawał mi służbę, nie meldował o niczym, więc nie poświęciłem temu większej uwagi. Zdarza się bowiem, że mieszkańcy domu wyjeżdżają i wracają, po czym znów wyjeżdżają. Nie można temu poświęcać wielkiej uwagi. Po kilku godzinach światło zgasło. Obserwowałem dom, ale nikt nie wychodził. To utwierdziło mnie w mniemaniu, że wrócił ktoś z gospodarzy.

Policjant zapalił latarkę. W pokojach na parterze panował porządek.

Weszliśmy na schody pierwszego piętra. W saloniku panował wzorowy ład. W małym gabinecie również. W pokoju gościnnym tak samo. Idąc w głąb korytarza policjant zwrócił uwagę na dziwny szmer.

— Kran jest gdzieś otwarty, — zauważył.

Policjant udał się w kierunku małego korytarza, gdzie zapewne znajdował się pokój kąpielowy, ja zaś sięgnąłem ręką do klamki kolejnego pokoju. Drzwi były zamknięte w zamku nie było klucza. Rozejrzałem się. Strzeliła mi dziwna myśl do głowy. Wyjąłem klucz z najbliższych drzwi i wsunąłem go do zamka. — Klucz obrócił się lekko. W tej samej chwili wrócił policjant.

Weszliśmy do pokoju razem. Policjant odsunął rolety. Do pokoju wpadło nieco światła, które pozwoli-

ło ku naszemu zdumieniu rozróżnić zarys postaci człowieka, leżącego w łóżku. Postać nakryta była cienką kołdrą aż po czoło. Nie poruszał jej żaden oddech. Policjant zbliżył się do łóżka:

— Nie żyje, — powiedział dotknąwszy czoła i ręki nieboszczyka.

— Zechce pan major poczekać tutaj na mnie, — powiedział. — Zawia domię swoje władze i lekarza sądowego.

Policjant wybiegł. Spojrzałem w kierunku łóżka. Na podłodze leżała chusteczka. Mała damska chusteczka. Była koloru zielonego.

Zbliżyłem się do trupa. Nic nie zdradzało nagłego zgonu. Na ciele nie było żadnych śladów. Tylko na ramieniu lewej ręki widać było wielokrotne znaki od ukuć strzykawką. Powodowany jakimś impulsem, poczęłem gorączkowo szukać czegoś w pokoju. Szukałem ubrania zmarłego. Leżało na krześle. Przeszukałem kieszenie. Znalazłem tam tylko zaproszenie z wydrukowanym nazwiskiem Morrisa, czek z tym samym podpisem, drobiazgi oraz nieco pieniędzy.

W szufladzie nocnego stoliczka leżały przybory toaletowe i nic więcej. W pustej szafie wisiała kamizelka. Posiadała wewnętrzną kieszeń, jaką niektórzy krawcy wszywają do ubrań. Sięgnąłem tam dłoń. Znalazłem ampulkę z jakimiś proszkami, flaszeczkę z płynem, strzykawkę i... skórzaną ramkę z fotografią. Poznałem ją odrazu. Była to podróżna w zielonym płaszczu. Chusteczkę i fotografię wsunąłem szybko do kieszeni ubrania. Był już najwyższy czas. Na dole zatrzymał się samochód. Po chwili pokój zaroił się przybyłymi. Przybył lekarz policyjny, dwóch detektywów, sędzia śledczy i jakiś dygnitarz ze Scotland Yardu. Oglądali, pisali, szukali, rozpytywali mnie o wszystko. Dokumenty nieboszczyka wymieniały nazwisko: Andrzej Morris.

— Wygląda na śmierć naturalną, — powiedział lekarz sądowy, po obejrzeniu zwłok. — Nie wykluczam jednak zbrodni. Należy uprzednio zbadać zawartość tych dwóch flaszeczek, znalezionych w kieszeni i strzykawki. Sekcja również rzuci światło na tę ponurą tajemnicę. — Śmierć nastąpiła przed trzema dniami.

— Ależ zwłoki są zupełnie świeże, — zauważyłem.

— Niektóre lekarstwa, a zwłaszcza sole, które zażywał nieboszczyk, posiadają własność konserwowania zwłok. Pigułki w tej flaszeczce zawierają właśnie te sole jako zasadniczy składnik. Używa się je na liczne dolegliwości.

#### Ogłoszenia i list.

Śledztwo nie wiele wyjaśniło. Ustalono jedynie, że śmierć nastąpiła na skutek wstrzyknięcia zbyt wielkiej dawki morfiny. Nie ustalono jednak, czy zmarły popełnił samobójstwo, czy była to zbrodnia i kto ją dokonał.

Krewni nieboszczyka twierdzili stanowczo, iż zmarły nie nosił się z myślami samobójczymi. Mnie również przesłuchiowano wielokrotnie. Wreszcie umorzono śledztwo dla braku dostatecznych dowodów.

Przeczekałem jeszcze pewien czas, po czym umieściłem w „Gazecie Codziennej” następujące ogłoszenie: „Pani w zielonym zechce podać swemu stryjowi Jerzemu miejsce i adres pod który może jej przelać zieloną chusteczkę i fotografię”. Dama w zielonym płaszczu czytała wówczas w pociągu. „Gazetę Codzienną”.

Po kilku dniach znalazłem odpowiedź. Była zamieszczona w drobnych ogłoszeniach i brzmiała jak następuje: „Stryj Jerzy zechce przelać wymienione rzeczy na Poste Restante Londyn, Poczta Główna”.

Nie spełniłem tej prośby. Posłałem jedynie list, w którym wyjaśniłem, iż nie chcę, aby przedmioty te dostały się w niepowołane ręce. Ogłoszenie mogło czytać wiele osób. Podaję swój adres.

Po dwóch dniach otrzymałem obszerny list:

„Podziwiam Pana dobroć i wielkie serce. Pielęgnowałam Andrzeja Morrisa w czasie wojny w szpitalu, gdzie byłam pielęgniarką. Pokochałam go, a on mnie. Niestety, wojna rozdzieliła nas. Wyszłam za mąż. Spotkałam go zbyt późno, ale kochaliśmy się nadal. Spotkaliśmy się i mieliśmy zamiar pobrać się. Miałam się rozjeść z mężem. Obawiałam się jedynie, aby nie wniósł skargi przeciwko mnie. Nie wolno mi było uchodzić za stronę winną, albowiem matka Andrzeja jest konserwatystką i nie pozwoliłaby synowi ożenić się z kobietą rozwiedzioną. Andrzej był od niej zaleźny materialnie. Nie mogłam zrezygnować z alimentów od męża. Mój mąż zaangażował prywatnego detektywa. Widział go pan w pociągu...”

Obawiałam się, że znajdzie przy mnie klucz od tego mieszkania. Matka Andrzeja wyjechała i zwolniła służbę. Andrzej przeniósł się do hotelu, ale w pustym mieszkaniu spotykaliśmy się, aby detektyw stracił mój ślad w Londynie. Powiodło mi się to. Ctworzyłam pusty dom. Znalazłam w nim to samo, co i pan tam zastał. Proszę sobie wyobrazić moje przerażenie. Byłam pielęgniarką na wojnie i umiem robić zastrzyki. Obawiałam się, że podejrzenie padnie na mnie... Jakże mogłam zresztą przyznawać się do wizyt w tym domu — ja, zamężna kobieta?...

Przejrzałem tylko ubranie zmarłego. Ubranie mojego Andrzeja... Zabrałam stamtąd dwa listy i kilka pamiątek. Dziwię się, że Pan znalazł jeszcze fotografię. Chusteczkę musiałam zgubić, gdy układałam zwłoki na łóżku i przykrywałam je. Dziękuję, że Pan te przedmioty ukrył. Bałam się. Bałam się przeraźliwie. Zamknęłam drzwi pokoju Andrzeja na klucz. Nie wiem czemu to uczyniłam. Klucz wrzuciłam do kosza od śmieci na parterze. Przez kilka godzin krążyłam po ulicach miasta jak błądną. Proszę sobie wyobrazić stan, w jakim się znajdowałam. Ukochany człowiek nie żyje... Nie mogę mu pomóc... Zwłoki leżą w zamkniętym mieszkaniu i kto wie jak długo będą tam leżały...

Czekał na mnie w Dorking mój mąż. Opanowałam się. Na dworcu zastałam mego prześladowcę — detektywa. Wsiadłam do pociągu. Zauważyłam pana w przedziale. Znam pana. Pamiętam Go z czasów wojny, gdy byłam wówczas pielęgniarką w szpitalu we Francji. Już wówczas mówiono o panu jako o ludzkim i bardzo dobrym człowieku...

Bałam się, że znajdą przy mnie fatalny klucz. Mogłam go wyrzucić przez okno z pędzącego pociągu. Nie uczyniłam tego, bo chciałam, aby ktoś oddał ostatnią posługę Andrzejowi. Wiem, że popełniono zbrodnię ale nie wiem kto i dlaczego jej dokonał. Andrzej nie mógł popełnić samobójstwa...”

Położyłam nieznacznie, klucz na zagiętej fałdzie płaszcza pańskiego. Pan jednak odgadł moje intencje. Daję Panu najszczerze słowo honoru, że nic mi w tej sprawie nie jest więcej wiadome.

Wdzięczna do śmierci „Pani w zielonym”. E. M. Keate.

## Nowa broń niemiecka.

Hitler oświadczył, że Niemcy użyją nowej broni, środka, którym dotychczas nigdy się nie posługiwali.

— Metoda, którą Niemcy nigdy się nie posługiwali?...

— Naprawde?... W takim razie będzie to chyba uczciwa droga dyplomatyczna.

## Humor angielski.

W kołach lotniczych angielskich opowiadają dowcip, związany z ostatnimi „bombami papierowymi”, spuszczoneymi w ilości jakichś 18 milionów ulotek, których treść ostrzegała Niemcy przed ślepym wykonywaniem nakazów Hitlera i jego grupy.

Jedna z ekip lotniczych wróciła na lotnisko, gdzie ją oczekiwano, o dwie godziny wcześniej, niż przewidywano. Komendant, zdziwiony i zaniepokojony, zwrócił się do oficera z pytaniami:

— Czy dobrze spełniście wyznaczoną wam misję?

— Yes Sire, oto fotografie.

— A ulotki?...

— Według otrzymanych instrukcyj, paki wyrzuciłem z samolotu tak, jak mi polecono w rozkazie...

— Czy chce pan powiedzieć, że wyrzucił je bez podzielenia ich przed tym na części?...

— Yes Sire...

— Nieszczęśliwy!!!! I nie pomyślał pan o tym, że w ten sposób mógłby kogós zabić???

## Szerzenie kultury.



Krajowiec: — Dlaczego nie zbada pan także kondensatora?

## Teoria Darwina.

Żona: — Czy ty także wierzysz w teorię Darwina, że człowiek pochodzi od małpy?

Mąż: — Nie wiem, czy dawni ludzie byli małpami, ale wiem, że ja sam byłem skończonym osłem, gdy się w tobie zakochałem i wziąłem z tobą ślub.

## Przewidujący mąż.

— Mój mężusiu sprawiłeś mi suknię spacerową na pogodę, za co ci ślicznie dziękuję...

— No i co z tego?

— Ale ponieważ czas jest fatalny, potrzeba mi sukni do wyjścia podczas deszczów.

— Moja kochana, tego już za wiele! Teraz chcesz sukni od „deszczu”, potem będziesz chciała od „gradu”, albo od „burzy”, a w końcu ci się zachce sukni od wyjścia podczas trzęsienia ziemi.

## U lekarza.

Jakiś obdarty wisus wchodzi do gabinetu lekarza.

— Pani doktorze — błaga — musi mi pan pomóc. Mniej więcej przed 15 laty połknąłem złotego dolara.

— Panie! — woła lekarz — dlaczego pan w takim razie czekał 15 lat?!

— Prawdę powiedziawszy — odpowiada pacjent — nie potrzebowałem wtedy pieniędzy.

## W urzędzie pocztowym.

Urzędniczka: — Dlaczego pani, odbierając przed trzema dniami pieniądze, podpisała się trzema krzyżkami, a teraz podpisuje się pani kółkami?

— Bo wczoraj wyszłam za mąż, więc musiałam zmienić nazwisko.



## W krainie ersatzów.

(Skecz aktualny).

Marszałek Goering wychwalał w swym przemówieniu doskonałość ersatzów i dowodził, że z badyli ziemniaczanych można zrobić doskonałą wełnę...

(Scena przedstawia obóz wojskowy hen w pobliżu linii Zygryda. Na uboczu stoją Karl i Fritz, młodzi żołnierze, i prowadzą cichą rozmowę).

Fritz. — Mein Gott, jeść mi się chce! 63 gramy kielbasy, oto wszystko co otrzymaliśmy na obiad!

Karl. — I w dodatku była to kielbasa z korzeni sosnowych, kopyt końskich i mielonych cegieł. Mówił mi o tym mój stary znajomy od saperów, którym polecono przyrządzenie tej kielbasy.

Fritz. — Nie była ona jednak taka paskudna, jak pieczeń wieprzowa, którą mieliśmy wczoraj.

Karl. — Ale ta pieczeń była więcej odżywcza. Przyrządzono ją bowiem ze skóry wielorybiej.

Fritz (Pociągając nosem wokół siebie). — Wydaje mi się, że czuję zapach ziemniaków. Być może, że mi się tylko zdaje. Żołądek przypomni mi sobie coś takiego jak ta „fata morgana” na pustyni, o której wczoraj „gauleiter” tak dużo nam mówił.

Karl (pociągając nosem). — Przypuszczam, że to nasze bluzy... Popadało na nie przed chwilą. Dlatego wydają zapach.

Fritz. — A jednak zdawało mi się, że poczułem zapach ziemniaków.

Karl. — Biedaku! To nie wiesz,

że wszystkie nasze ubrania sporządzone są z ersatzów a głównie z ziemniaków?...

Fritz. — Aha... to dlatego wieśniacy nie mają co jeść!...

Karl. — Gdy spojrzę na kilogram ziemniaków, stawiają sobie pytanie: „Co zrobić? Obiad, czy kamizelkę?”

Fritz (wahająco). — Te, Karl, mam ochotę spróbować kawałek...

Karl. — Czego?

Fritz. — Bluzy! Tak dobrze pachnie a żołądek gra marsza... A gdybym odciął taki cieniutki pasek? Możliwy sporządzić niezły podwieczorek...

Karl. — Pas auf! Żeby cię oberlajtant nie widział...

Fritz. — Czy w przepisach jest napisane, że nie wolno jeść munduru?

Karl. — Właściwie nie, ale...

Fritz. — Zresztą, sam marszałek Goering mówił, że gdy nie będziemy mieć spodni, będziemy chodzić w spodniach kąpielowych...

Karl (przekonany). — Prawda... Zresztą, gdy zjesz wąski kawałek od bluzy, to nikt nawet nie zauważy...

Fritz (zrzucił bluzę żołnierską i wyciągnął nóż z kieszeni). — Tak... sporządzą sobie dańko z ziemniaków... Oh... psiakrrrr... Popatrz. Robaki się zaległy... Cały apetyt zgubiłem... Hm... nawet sukno jest podziurawione... Mole się zaległy...

Karl (oglądając kawałek sukna). — Mylisz się. To chrząszcze ziemniaczane...

(Kurtyna).

## Miłość dobrze wpojona.

Król pruski Wilhelm, jadąc na przejażdżkę, zauważył, że dwóch Żydów kryło się przed nim w krzaki. Rozkazał stangretowi zatrzymać powóz i wyciągnąć ich z zarośli.

— Dlaczego ukryliście się przede mną?

— Bośmy się bali.

— A łajdaki! Kochać mnie powinniście, a nie bać się! — wołał król, waląc ich z całej siły laską.

## Nowość wydawnicza.

W kawiarni w Londynie jeden z klientów, wskazując na potężnych rozmiarów księgę, leżącą na ladzie, zapytuje:

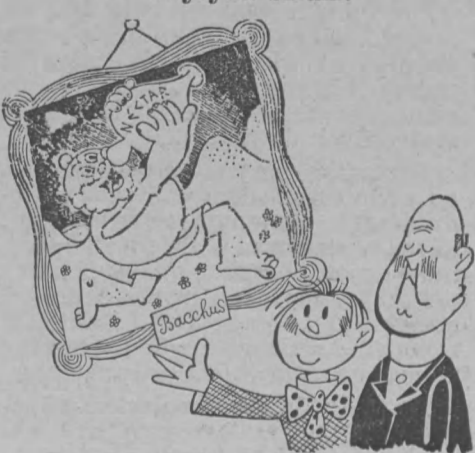
— A to co?

— To ostatnia nowość — pierwszy tom podręcznika rozmówek angielsko-rosyjskich.

## „Ersatzwirtschaft”.

Pod Berlinem spłonął ostatnio doszczętnie skład środków wybuchowych, zbudowany z materiałów ogniotrwałych. Ocalały natomiast znajdujące się w nim środki wybuchowe, które nie eksplodowały. („Kronika”).

## Krytyka sztuki.



— Wspaniały obraz.

— Tak, ale podobny sposób picia uważam za bardzo niezręczny.

## Oszczędny.

Icek: — Wyobraź sobie, otrzymałem wczoraj list od syna, który od dziesięciu lat jest w Ameryce.

Srul: — Ny, i c un pisze? Jak interesu?

Icek: Nie mam pojęcia. List był nieofrankowany... więc odesłałem mu z powrotem.

## Troskliwa żona.

— Moja droga, przyszyj mi guzik do koszuli!

— Po co ci guzik przy koszuli? Zapnij marynarkę i nie będzie widać!

— Kiedy przy marynarce też nie mam guzika.

— Włóż palto!

— Przy palcie też brak dwóch guzików.

— Mniejsza z tym! Na taką niepewną pogodę lepiej zostań w domu!

## Z prawa.

— Co to jest list gończy?

— To list, wysłany do takiego, który nie ma najmniejszej ochoty ażeby go otrzymać.

## Człowiek siły.



— Czy i teraz jeszcze nie wierzysz pan, panie dyrektorze, w powodzenie moich popisów?

## Czułość.

Dowiedziawszy się, że w sąsiedztwie zachorowała ciężko żona dziecka, hrabina posyła swego lokaja, wydając mu polecenie, aby dowiedział się, jaki jest stan zdrowia. Lokaj po godzinie wrócił. Hrabina dzwoni na niego.

— Byłeś u pani dziedziczki i spytałeś jak się miewa?

— Tak jest, pani hrabino.

— Dobrze. Możesz odejść.

## Indyjska bajka.

Pewien człowiek kupował codziennie sześć chlebów. Kiedyś zapytał go przyjaciel:

— Po co kupujesz tyle chlebów?

Człowiek ów odpowiedział:

— Jeden bochenek zachowuję dla siebie, jeden wyrzucam przez okno, dwa zwracam i dwa pożyczam.

Przyjaciel zdziwił się:

— Nie rozumiem — powiedział.

— Przecież to jasne — odparł mu ów człowiek. — Chleb, który zachowuję, stanowi mój posiłek, bochenkiem wyrzucanym przez okno nazywam ten, który daję mojej synowej. Dwa bochenki, jakie zwracam, są pokryciem długu wobec moich starych rodziców, dwa zaś pożyczam swoim synom. Oto wszystko.

## Życie artystów.

— Słyszałem, że masz dobrą posadę.

— Tak sobie, występuję w cyrku jako głodomór.

— Czy dużo ci płacą?

— Pieniądzmi nie wiele, ale za to mam całodzienne utrzymanie.

## Nowoczesnym okiem.



— To doprawdy interesujące! Czy za czasów Rzymian także były bombardowania?

## Przewaga.

— Jaka jest różnica między wariatem a geniuszem?

— No?

— Wariat jest utrzymywany na koszt państwa.

## W Berlinie.

Bandyta napada w ciemnej ulicy na Pana Putschke.

— Ręce do góry! — krzyczy.

— Obie ręce?

— Obie!

— Chwała Bogu! Gdyby pan kazał mi podnieść tylko jedną rękę do góry, to wiedziałbym, że pan jest agentem Gestapo! Ale widzę, że pan jest tylko zwykłym bandytą!...

## Zoologia.

Między stonogami.

— Dzień dobry panu, co robi pańska małżonka, że nie widać jej już od tygodnia?

— Ach nic, drobiazg: pierze sobie północzochy!...

## Między wariatami.

Wariat wraca z polowania.

— Upolowałeś co? — pyta go drugi pomyłony.

— Nic. Bo zapomniałem strzelby. Ale mówię ci — gdybym miał strzelbę, to bym natłukł ze 30 zajęcy, taki miałem dobry dzień!

## Pomyłony gra na loterii.

— Wygrał pan co kiedy? — pytają go znajomi.

— Owszem, raz stawkę, ale i ta padła na inny numer!

## DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Wa - Ho.

## O królownie Błyskotce.

Bajka dla grzecznych dzieci.

Było to dawno, bardzo dawno temu. W pewnej krainie, pięknej i bogatej, żyła sobie młodziutka królowna. Rodzice jej umarli, rodzeństwa nie miała, a opiekę nad nią sprawowała rada starców. Miało to tak trwać aż do czasu, gdy królowna dorosła i sama będzie mogła rządzić. Tymczasem sierotka królewska rosła w zbytku i dostatku, psuta przez cały dwór, to też nie dziwnego, że zakorzeniła się w niej brzydka wada a mianowicie bezgraniczna próżność. Mała królowna ogromnie lubiła stroje, klejnoty i wszelkiego rodzaju błyskotki, lubiła także godzinami przyglądać się swemu odbiciu w lustrze. To też słusznie nadano jej przydomek „królowny Błyskotki” i wszyscy do tego stopnia przywykli ją tak nazywać, że w końcu zapomnieli o tym, że właściwie dzwiczne imię Zefiryny nosiła.

Pewnego dnia admirał jej królewskiej floty przyjechał z Indyj i przywiózł ze sobą olbrzymie skrzynie, pełne skarbów zamorskich. Królowna przyjęła go, siedząc na tronie, otoczona dostojnikami państwa i z zachwytem spoglądała na rozłożone u jej stóp kosztowności. Póki było naokoło tylu świadków, powściągała swą chęć strojenia się, bo wstydziła się za swoją próżność, niestety za mało miała siły woli, by wyleczyć się ze swej wady.

Skoro tylko noc zapadła i cały zamek pograżył się we śnie, wstała królowna Błyskotka z łóżeczka, zarzuciła na siebie purpurowy szlafroczek, wsunęła nóżki w atlasowe pantofelki i cichutko, na paluszkach, aby nie zbudzić swej ochmistrzyni, wymknęła się z sypialni. Poszła wprost do sali tronowej, gdzie leżały rozłożone skarby. Zapaliła wszystkie światła i zaczęła się stroić. Obwiesiła się naszyjnikami, a ramiona nałożyła po kilkanaście bransolet, palce pokryła pierścieniami, w pasie przewiązała się złotym sznurem, nawet nogi otoczyła drogoceńnymi łańcuchami, wreszcie włożyła na głowę diadem, skrzący brylantami i zaczęła się podziwiać w lustrze.

— „Istotnie, pięknie wyglądasz, księżniczko” — usłyszała nagle za sobą jakiś głos — „ale czy o duszyczkę twą tak samo dbasz jak o ciało, by ją godnie przystroić?” — Królowna drgnęła i odwróciła się. Ujrzała przed sobą jakieś niezmiernie dziwne zjawisko. Była to postać powiewna i lekka, jakby z mgły i światła księżycowego utkana, przy tym promienna i piękna. Była to najwidooczniejsza wróżka. Księżniczka zapatrzona w niezwykłego gościa, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Tymczasem tajemnicza postać ciągnęła dalej: „Przybywam tutaj na prośbę twoich rodziców, którzy z tamtego świata z troską wielką patrzą na twoją niezmierną próżność. Myślisz tylko o błyskotkach i strojach, a nie zajmujesz się rzeczami poważnymi, jakie przystoją przyszej władcy kraju. Przyszłam więc, aby cię wyleczyć z tej brzydkiej wady. Zmienię cię w pierścień. W tej postaci pojedziesz w świat między ludzi i przekonasz się na własne oczy, ile zła się dzieje przez to, że ludzie za bardzo kochają się w złości i bogactwie. Tak długo zaś będziesz zaczarowana, póki w postaci pierścienia nie zdołasz skłonić kogoś do dokonania dobrego czynku.” — Mówiąc to wróżka dotknęła struchlałą królownę dłonią i w jednej chwili zamieniła młodą dziewczynę w piękny, szczeroloty pierścień, w którym migotały dwa cudownie piękne brylanty. Były to oczy księżniczki. Mogła nimi widzieć wszystko, co się działo dokola niej.

Wróżka zabrała Błyskotkę, zaklętą w pierścień i wyfrunęła z pałacu. Rzuciła ją na najruchliwszą ulicę miasta i zniknęła. Królowna patrzyła ciekawie na otaczający ją ruch i gwar, ale nie długo daną jej tak leżeć spokojnie. Wnet została spostrze-

żona. Chciwe ręce wyciągnęła się ku niej. Zaraz rozpoczął się spór o prawo do znalezionej klejnoty, bo było aż dwóch znalazców. Ze sporu wynikła bójka. Biedna księżniczka ze zgrozą ujrzała, jak ludzie potrafią nastawać nawzajem na swoje życie, by tylko zdobyć bogactwo. Potem rozpoczęła się długa wędrówka dla biednej, zaczarowanej Błyskotki. Przechodziła z rąk do rąk. Wszędzie spostrzegała chciwość i skąpstwo i przekonana się z przerażeniem że ludzie stają się gorsi przez pożądanie majątków doczesnych. Wreszcie wpadła nasza królowna w ręce herszta bandy rozbójników. Bandyci urządzili napad na dom, w którym znajdowała się Błyskotka i zabrali pierścień, jako najcenniejszą zdobycz. Herszt upodobał sobie klejnot i wsunął go zaraz na palec, pyszniąc się blaskiem brylantów. W rękach opryszków dokonała się miara przysług Błyskotki. Widząc codziennie najstraszniejsze sceny, do jakich doprowadzali zbójce, aby zdobyć jaknajwięcej złota, nauczyła się pogardzać wstrętną chciwością i jakże gorzko żałowała swej uprzedniej, lekkomyślnej próżności, dążącej do strojenia się w świecidełka, które tyle lez ludzkich kosztują.

Pewnej nocy herszt bandy powziął potworny zamiar złupienia kościoła. Błyskotka drżała z lęku i oburzenia, ale nie mogła się sprzeciwić, bo była bezsilna. Ujrzała też na własne oczy straszny obraz świętokradztwa, jakiego dopuścili się rozbójnicy. Widziała, jak łamali balaski, wydzielali obrazy z ram, rozbijali ołtarze i zdzierali z nich wszelkie kosztowności i wota, zostawione tutaj dla chwały Bożej przez pobożnych ludzi. W czasie dokonywania tych zbrodniczych czynów, zaczęli herszt bandytów dłońią o jakąś wystającą krawędź i przy tym nie zauważył, jak pierścień, noszony na palcu ześlizgnął się i potoczył na stopnie ołtarza. Rozbójnicy obładowani łupami odeszli i Błyskotka została sama. Z głębi serca zaczęła błagać Boga o zlitowanie się nad nią, obiecując solennie poprawę.

Gdy rano zaświtał, wszedł do kościoła sędziwy ksiądz proboszcz. Ujrawszy dzieło zniszczenia, dokonane w świątyni Pańskiej, padł na kolana i zapłakał. Wnet zesłali się tłumnie parafianie, poruszeni wieścią o obrabowaniu kościoła. Znalezione przy tym drogoceńną Błyskotkę. Na pierwszy rzut oka poznać było można, że pierścień ten posiada bezcenną wartość. To też otucha wstąpiła w serca wszystkich. Ogłoszono, że

pierścień, którego właściciela nie można było znaleźć, zostanie wystawiony na sprzedaż a za cenę, uzyskaną za niego, ma się odnowić zniszczony kościół i naprawić wszelkie szkody.

W całym świecie rozbudziło się wielkie zaciekawienie. Każdy, kto po siadał większą ilość pieniędzy, spieszył, by obejrzeć cudowny klejnot i wyrażał chęć kupna. Ale wszystkich ubiegł młody król z sąsiedniego państwa. Przybył z wielkim orszakiem i licznymi wozami, wyładowanymi złotymi monetami. Ponieważ pierścień spodobał mu się ogromnie, zapłacił za niego bardzo wysoką cenę i ślubował, że zawsze będzie go miał przy sobie i nigdy się z nim nie rozstanie.

Prace nad odnowieniem kościoła postępowały szybko naprzód. Sprofanowaną świątynię odmalowano, wyrestaurowano, sprowadzono nowe obrazy i odbudowano ołtarze. Gdy wszystko było gotowe, odbyło się uroczyste nabożeństwo, na które zeszyli się niezliczone tłumy ludzi ze wszystkich stron. Król, jako kolator kościoła, zajął zaszczytne miejsce tuż przy głównym ołtarzu. Po zakończeniu Mszy św. wstąpił jeszcze ksiądz proboszcz na kazalnicy, by wygłosić do wiernych kilka słów. Kaznodzieja odmalował grozę niedawno wydarzonego świętokradztwa, dodając potem następujące zdanie: „Ale Pan Bóg okazał nam jednak swą łaskę, zsyłając ów cenny pierścień, dzięki któremu mogliśmy naprawić zło. Powstało przez ów klejnot zbożne dzieło w postaci naszej odnowionej świątyni”.

Król, popatrzał wzruszony na swą rękę, na której skrzyła się tęcza blaskami Błyskotka. Z najwyższym zdumieniem spostrzegł nagle, że pierścień zsuwa mu się sam z palca i upada na podłogę. W tej samej chwili powstała z klejnotu dziewczina cudnej urody, w której zebrani w kościele rozpoznali swą utraconą i zdawaną opłakaną królownę. Radość zapanowała niezmierną. Królowna wyjaśniła całą zagadkę, opowiadając w kilku słowach, że była zaczarowana i dopiero dzięki dokonaniu dobremu uczynkowi, odzyskała ludzką postać.

Wkrótce odbyło się wesele królowicy z królowną. W ten sposób spełniło się ślubowanie królowicy, że nigdy nie rozstanie się z wspaniałym pierścieniem. Młoda para żyła długo i szczęśliwie, panując w obydwóch krainach, złączonych teraz pod wspólnym berłem, a obywatele błogosławili ich rządy, tak były rozumne i sprawiedliwe.

## Pierścień Kościuszki

Deszcz zaczął wąskimi smugami po szybach, a chociaż ciepła była pora, wilgoć przenikała do dziesiątej skóry, więc kto tylko mógł siedział w domu przy ciepłym piecu.

Przez polną drożynę jechał tylko samotny jeździec, okutany szerokim płaszczem — peleryną, niemal powyżej uszu. Z daleka zauważył mały dwór, ukazujący się z sadu wiśniowego. Przed bramą zatrzymał konia. Zeskoczył lekko na ziemię i po chwili stuknął do drzwi.

— Kto tam — zawołała śpiewnym głosem pani Tekla Wodzińska.

— Podróżny, który za łyżkę ciepłej zupy do zgonu wdzięczność okazał — zabrzmiała odpowiedź i energiczne pchnięcie otworzyło drzwi.

— Pochwalony! — rzekł wstępując w progi dworku podróżny.

— Pan Kościuszko! wykrzyknęła składając ręce Tekla Wodzińska spojrzawszy w twarz przybyłego.

— Tst — zgromił ją Naczelnik.

— Bez obawy, bez obawy, Moskali w naszych stronach nie widać, mówiła gospodyni, żywo krzątając się przy garnkach ustawionych na kuchni.

## Co morze dało Kubie za chodaki.

Tęgi rybak ten nasz Kuba, bo się rodził na Kaszubach. Po pradziadkach dostał w spadku sieć, kosz i beczkę gładką. Sieć dziurawa — kosz przetarty — beczka pół złotego warta.

Oj, zna Kuba swą robotę. Soli śledzie — wędzi szproty. Umie żagiel pięknie napiąć. Umie ryby sprawnie łapać.

Sieci wiązać się nie ruszy. Stare jeno ciągle suszy. Nauczył go sztuki takiej wiatr od morza — wiatr - hulaka. Niech no siędzie Kuba w piasku: zagwiżdże na wiatr z chodaka — przygna wicher od północy — siecią zaraz zatrzepece — i zapłacie i zapłacie — zszyje dziury z dołu, z góry — że i śladu nie znajdziecie.

Lubi Kuba z wiatrem gadać i nać brzegiem często siada.

A to morze szumi — szumi. Po kaszubsku gadać umie. Słucha Kuba i rozumie. Słucha Kuba, a ciekawo. Radby bajki w książkę wprawić. Bo nie każde z dzieci przecie wie, o czym to morze plecie.

Przyszedł Kuba raz świtaniem na gadanie, na słuchanie, ale sen go jakoś chwycił. Chrapnął sobie wyśmienicie.

Przypłynęło ci wnet morze — zdjęło mu chodaki z nożyn. Wyłapało aż po uszy. Wnet się Kuba z piasku ruszył. Nurkiem poszedł po chodaki — po głębokiej wodzie takiej.

A te płyną i nurkują — nosy z wody pokazują. Wlazła w jeden flądra płaska — w drugim śledź pletwami klaskała. Na wyścigi płyną morzem — pod samutką prawie zorzę.

Łypie jednym okiem flądra — śledź się prawie nie ogląda. Dobrze zmyty Kuba wrócił — ale wcale się nie smuci. Wrócił przecież na bosaka, jak przystało na rybaka.

Chodzi Kuba po tym brzegu jak pan jaki — bo brzeg jego. Jeszcze prapradziadek Kubę był rybakiem i Kaszubem. Wie ci o tym przecie morze. W piachu musi się położyć. Kaszub trzyma tutaj rządy. Morze musi słuchać ładu!...

Zakipiła zaraz morze, kiedy Kuba się nasrożył — do nóg kładzie grzbiec.

Lecą fale zadyszane — pełno na nich białej piany. A padają jedna z drugą do tych nóg się Kubie ugiąć. Za kolana chwycić — prosić. Niech się Kuba już nie złości. Niech wybaczyle takie — dadzą za to mu różności.

Wysypały jak z kapoty muszle i bursztyny złote. Tych bursztynów — jak kamieni. Piach się cały od nich mieni. Bo to jeszcze het — przed laty stał u brzegu gród bogaty. Bursztynowy Dwór Juraty. — Wzięło ci go do dna morze — gdy wróg tutaj się położył. Wzięło ci go morze do dna — by go nie miał kto niegodny.

Niosą fale bursztyn teraz. Niech go Kaszub w kieszeń zbiera.

Hojne morze — wierne morze — że i gniewać się nie możesz.

Zbierał Kuba do wieczora, a uzbierał coś pół wora.

Chciał z bursztynu książkę złożyć. Całą wielką książkę morza. Bez literki i bez kropki, by mieściła baśni kopę.

Ale bursztyn twardy, chrupki, na korale mu się lupał. Na koralu sypkich krocie — na cybuchy — brosze w złocie.

Poszedł bursztyn het po świecie — w każdym sklepie go znajdziecie.

Gdy z bursztynu masz cybuchy — zapal fajkę, baśń wydmuchaj. Gdy z bursztynu masz korale, zamknij oczy — ujrzyś fale.

Gdy masz muszle — weź do ucha — to zagada ci. Posłuchaj.

K. Artyniewicz.

wśród innych klejnotów, które nie znana ręka złożyła w r. 1939 na Fundusz Obrony Narodowej Wolnej i Niepodległej Polski, za którą Kościuszko krew przelewał.

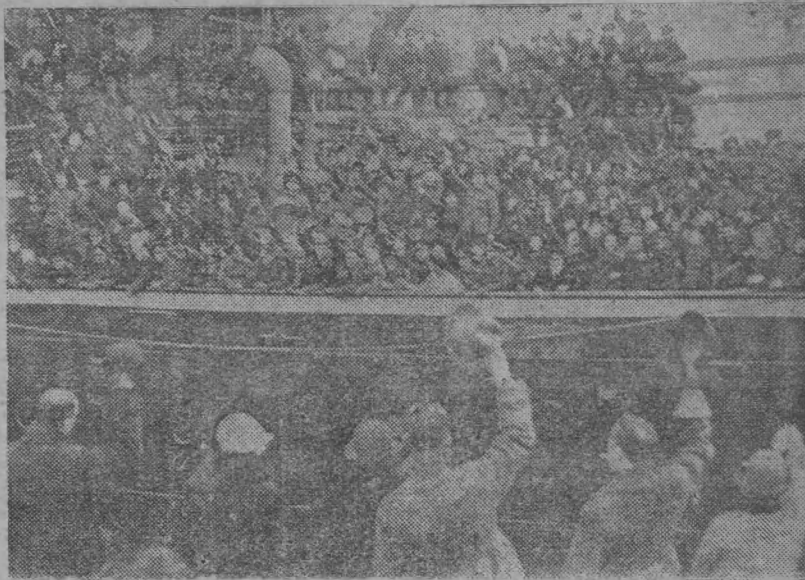
# AKTUALNOŚCI WOJENNE



## Wojska Wielkiej Brytanii, obok armii francuskiej, gotowe do zwycięskiej walki.

W myśl zawartego przymierza angielsko-francuskiego, wojska angielskie przybywają nieustannie na teren Francji, zajmując wyznaczone placówki. Żołnierzom, wspaniale wyekwipowanym, towarzyszą pojazdy mechaniczne i różne rodzaje broni do czołgów włącznie. Wszędzie, kędy przejeżdżają, ludność wita ich z zadowoleniem, pewna, że wobec połączonych sił Anglii i Francji, wspólny wróg ugiąć się musi.

Roześmiane twarze żołnierzy angielskich najlepiej świadczą o tym, z jaką gotowością idą oni walczyć o zwycięstwo słusznej sprawy.

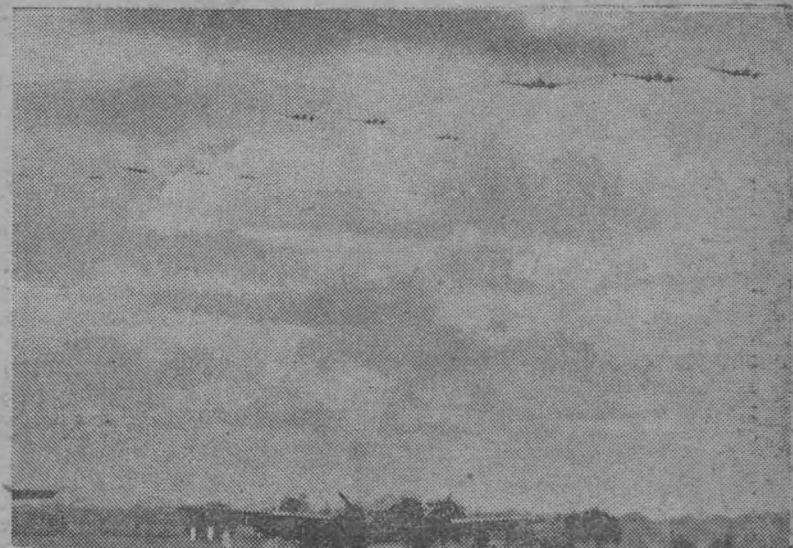


Rodziny żołnierzy angielskich, odjeżdżających na front francuski, ślą im ostatnie pożegnania przed odjazdem. Wszystkich ożywia nadzieja szczęśliwego i szybkiego zobaczenia się.

Samochody, którymi wojska angielskie odbyły podróż z portu, w czasie postoju świecą pustkami. Żołnierze poszli odpocząć sobie i odświeżyć się...



Anglicy, przydzieleni do obsługi armat wielkiego kalibru, uważnie słuchają wykładu.



## Samoloty na wywiadach.

W wojnie nowoczesnej ważną rolę odgrywa lotnictwo, nie tylko przez uczestniczenie w walkach, ale również dzięki lotom wywiadowczym, w czasie których bada się i fotografuje pozycje nieprzyjacielskie. Na podstawie dokumentów w ten sposób uzyskanych, dowództwo uzgadnia następnie plany ataku i obrony. — Na zdjęciu: francuska eskadra wywiadowcza powraca z lotu nad liniami nieprzyjacielskimi.



Oprócz armii, współdziałają ze sobą również lotnictwo angielskie i francuskie, tworząc razem nieprzezwycięzoną siłę. — Na zdjęciu: dowódca Royal Air Force w Paryżu, składa deklarację w obecności dziennikarzy.



## Worki z piaskiem chronią pomniki i zabytkowe budowle paryskie przed atakami lotniczymi.

Celem ochrony pomników i cennych budowli paryskich przed skutkami ataków lotniczych, układa się nad murami całe stopy worków z piaskiem. — Na zdjęciu widzimy worki z piaskiem nagromadzone w kościele Saint Germain l'Auxerrois.



## Pierwsi ranni na polu walki.

Wojna nie może obyć się bez ofiar. Do szpitala amerykańskiego w Neuilly, zamienionego na szpital wojskowy, przewieziono pierwszych rannych francuskich. — Główny lekarz inspekcyjny, Savornin, odwiedza chorych.

W środku dr. de Martel.



## Delegacja Polaków we Francji u Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Prezydent nowego rządu polskiego, utworzonego we Francji, p. Władysław Raczkiewicz, przyjął delegację Polskiego Centralnego Komitetu Obywatelskiego we Francji, w osobach: prezesa Józefa Szymanowskiego, wiceprezesa ks. rektora Franciszka Cegieli i sekretarza generalnego, Kalinowskiego. Delegacja złożyła Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej i Panu Prezesowi Rady Ministrów zapewnienie gotowości Emigracji do jak największych wysiłków w dziedzinie organizacyjnej i wojskowej na rzecz walki o oswobodzenie Rzeczypospolitej od najazdu niemiecko-rosyjskiego.

Na zdjęciu, od lewej do prawej: p. Kalinowski, ks. dr. Cegiela, p. prezydent Raczkiewicz, p. Szymanowski i konsul gen. w Lille p. Kawalkowski.